

KSIĄŻKA DO CZYTANIA

ZEBRAŁ i UŁOŻYŁ
JAN POPRAWSKI
POZNAŃ



.....
Czytanie
.....
Kazimierz Wojtkowski

NAKŁADEM Drukarni JÓZEFA KAWALERA
SZAMOTUŁY (POZN.) ===== 1921



45438/II

Przedruk wzbroniony. — Wszelkie prawa zastrzega się.

W5104



I. Z Bogiem!

1. Pieśń poranna.

1. Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże wielki!
 2. A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?
 3. Ledwo oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go wkoło siebie.
 4. Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.
-

2. Zaczynaj wszystko z Bogiem.

Wstając, wznies najpierw myśli do Boga, a Bóg pobłogosławi twojej pracy. Z Bogiem rozpoczynaj naukę, a Bóg oświeci rozum twój, doda chęci do nauki i pilności. Z Bogiem zasiadaj do stołu, a pokarmy na pożytek ci wyjdą. Z Bogiem chodź do szkoły, a nauczysz się prawd życia; On uczyni cię cnotliwym, dla społeczeństwa pożytecznym człowiekiem. Z Bogiem znos smutki i zmartwienia, a znajdziesz pociechę i ulgę w niedoli. Z Bogiem zasypiaj, a będziesz spał snem sprawiedliwego. Z Bogiem na koniec umieraj, a skończysz żywot doczesny błogo i spokojnie, by w niebie żyć na wieki.

3. Gdzie jest Bóg?

O! Bóg jest wszędzie: w niebie i na ziemi,
Najbardziej jednak lubi przebywać z dobrymi.
Choć Panem świata i wszystko jest Jego,
On wyszukuje serduszka dobrego.

Tam Mu najmilej wśród tej komóreczki,
Miejcież ją czystą, kochane dziecieczki!
Niech na przybycie Pana tego czeka,
Pana, co z nieba schodzi do człowieka.

Jachowicz.

4. Kto z Bogiem, Bóg z nim.

W kraju węgierskim mieszkała w pewnej wsi uboga wdowa. Złożona chorobą, wysłała dwóch chłopców swoich ze saneczkami do boru po drzewo. Jeden z nich miał lat dwanaście, drugi dziewięć. Kiedy ze saneczkami przejeżdżali koło kościoła, rzekł młodszy do starszego: „Jasiu! dziwnie mi jakoś w duszy; zdaje mi się, jakoby nas nieszczęście jakieś spotkać miało; wstąpmy najpierw do kościoła.“ I zostawiwszy przy drzwiach kościelnych saneczki, weszli do świątyni i szczerze się modlili.

Potem pojechali wesoło do boru i nzebierali suchego drzewa. Właśnie kładli je na sanki, kiedy ujrzeli dwa wilki, wprost na nich biegnące. Ucieczka była niepodobną; drzewa w pobliżu także nie było, gdyż wokoło nich znajdowała się tylko krzewina.

Starszy, pełen odwagi chłopiec, przykrywa młodszego san-
kami; sam zaś staje odważnie przy nim ze siekierą w ręku.
I kiedy pierwszy wilk do niego przybiega, tak silnie i zreźnie
tnie go w kark, że zwierz pada bez życia. W tej chwili drugi
wilk chwyta chłopca za rękę i powala na ziemię. W mgnieniu
oka wyskakuje teraz młodszy chłopczyzna z pod sanek, porywa
za siekierę i tnie nią kilka razy wilka w plecy. Rozjuszony
zwierz zwraca się na nowego nieprzyjaciela i byłby go w kawałki
rozszarpał, gdyby nie starszy brat, który, lotem błyskawicy rzu-
ciwszy się na wilka, zadał mu siekierą kilka silnych cięć w głowę.

W ten sposób dwaj słabi chłopcy zabili dwa okrutne, dra-
pieżne zwierzęta, nie odniósłszy nawet żadnej znaczniejszej rany.
Podziękowawszy Bogu za szczęśliwe ocalenie, ruszyli wesoło do
domu, wioząc na saneczkach suche drzewo, a na niem dwa
zabite wilki potężne. —

W Bogu położy zaufanie,
On o tobie ma staranie. —

5. Szczęśliwy, kto ma serce czyste.

Szczęśliwy, o szczęśliwy! kto ma serce czyste,
Serce, którego nie szarpia zgryzoty wieczyste.
Kto na swoim przestając, na cudze nie chciwy,
Szuka w dobroczynności rozkoszy prawdziwej,
Temu ranna swoboda sen miły przerywa,
A do trwałej i czystej uciechy go wzywa.

Fr. Karpiński.

6. Księga Boska.

Teofila Nowosielskiego.

Jest księga Boska, wiecznie otwarta;
Ten świat nasz piękny, to pierwsza karta;
Na niej przedwieczny palec wszechboski
Z kwiatów wiosennych układa głoski.
Te głoski żywe, coraz to nowe;
Kwiaty maluje w barwy tęczowe,
Ozdabia ziemię w wonne kobierce

I niemi pieści oko i serce.
W każdej z tych głosek myśl Boska skryta,
A kto ma serce, jasno tam czyta
I prawdy nieba czuje głęboko.

Druga, piękniejsza karta wysoko!
Ten błękit nieba, przestrzeń bez końca,
Skąd nam przyświeca to oko słońca,
Gdzie księżyc błądy wędruje nocą
A drzące gwiazdy tęsknie migocą:
Głoski to złote na karcie nieba!...
Kto kocha Boga, wdzięcznym być umie,
Kwiaty i gwiazdy sercem rozumie.

7. Wielkość Boga.

Piękne słowa o Bogu wyrzekł niedawno pewien wieśniak. Ktoś spotkał go na drodze do kościoła. „Dokąd idziecie?” zapytał. „Do kościoła.” „I co tam myślicie robić?” „Boga chwalić i błagać.” „Czy wasz Bóg jest wielki, czy mały?” „I taki i taki.” „To niepogobna!” „A tak: jest On tak wielki, iż Go niebiosą objąć nie mogą, a jednak tak mały, że sercem objąć Go mogę.”

8. Józio.

Ukochany dziadunio trzyletniego Józia zachorował ciężko. Strapiona matka dodała do codziennego pacierza Józia te słowa: „Proszę Bożę, żeby dziadunio był zdrow!” Józio nie zapominał nigdy o tym dodatku; codzień rano i wieczór temi słowami kończył modlitwę swoją, a nawet raz w ciągu dnia wszedłszy do pokoju dziadunia i spostrzegłszy stojący na stoliku obok łóżka krucyfiks, ukląkł, złożył rączki i powiedział: „Proszę Bożę, żeby dziadunio był zdrow!” Rozczulony dziadunio ucałował go, mówiąc: „Dobrze robisz, że się modlisz o zdrowie dla mnie; ale trzeba, żebyś wiedział, że Bóg słucha tylko modlitw dzieci grzecznych.” Usłyszawszy to Józio, zbliżał się do krzyża, wspinał się na paluszki, podnosi główkę i mówi po cichu: „Boziu, dziś Józio bardzo był grzeczny, wszystkie zabawki oddał siostrzyczce.”

9. Boska opieka.

Pod rozłożystą lipą w ogrodzie odpoczywała na ławeczce babunia, a u nóg jej na murawie siedział Staś, przysłuchując się z uwagą słowom babuni, która mu opowiadała o Panu Bogu.

— Wszystko, — mówiła — co tylko oczy twoje widzą, stworzył Pan Bóg. Tutaj kazał rosnąć tym czerwonym, niebieskim i żółtym kwiatkom; tam drzewom, rodzącym smaczne owoce. Pan Bóg stworzył to piękne sklepienie niebieskie i ozdobił je słońcem, księżycem i gwiazdami. Pan Bóg dał ci kochających rodziców; Pan Bóg czuwa dzień i noc nad tobą, aby ci się nic złego nie stało. Powiedzże mi, Stasienu, czy będziesz czcił i kochał Pana Boga ze wszystkich sił twej duszy?

— Bę ę, Babuniu! — odrzekł Staś. — Będę Go z całego serca miłował; będę mówił pacierze co rano i wieczór, abym był zawsze dobry i bogobojny.

Zdarzyło się w kilka dni po tej rozmowie z babunią, że Staś z ojcem i innymi chłopczykami poszedł do lasu. Dzieci rozbiegły się po krzakach, śpiewały i krzyczały. W lesie tym był bardzo głęboki parów, na którego dnie płynął strumyk. Staś wdrapał się na wysoką ścianę parowu, skąd widział doskonale ojca i towarzyszy; i bardzo go to bawiło, że mu się wydawali maleńkimi.

Ojciec, posłyszawszy w górze głos i klaskanie Stasia i ujrawszy go na takiej wysokości, zaczął wołać, aby Staś do brzegu się nie zbliżał, bo ziemia mogłaby się z pod nóg usunąć. Staś posłuszny rozkazowi ojcowskiemu, już miał się cofnąć, gdy nagle brzeg się pod nim zarwał i biedne dziecko stoczyło się z ogromnej wysokości na dno parowu.

Nieszczęśliwy ojciec załamał ręce, w obawie, że dziecko się zabiło i skoczył, aby je ratować. Ale w tej samej chwili Staś zeskoczył z krzaka, na którego gałęziach zatrzymał się. Upadając, Staś był bardzo przestraszony, powalany gliną i niejeden miał siniec, ale zresztą zdrów był i cały, dzięki Opatrzności.

Gdy powrócili do domu, babunia, dowiedziawszy się o przypadku Stasia, przycisnęła go do serca, rozplakała się i rzekła: — Dziecko moje! Pan Bóg widoczny cud nad tobą pokazał, inaczej pewnie byłbyś się zabił. — Odtąd Staś codzień rano i wieczór dziękował Bogu za ocalenie życia.

10. *Ufność w Bogu.*

*Jeżeli swobodnie, wesóło
Chcesz bujać po całym świecie,
Musisz na ptaszki wokóło
Patrzyć, ciesząc się w lecie.*

*Każdy żyje, skacze, śpiewa
Bez trwogi i bez kłopotu,
Śpi spokojnie w cieniu drzewa,
Aż wstanie znowu do lotu.*

*Gdy świecą słońca promienie,
Nie myśli o przyszłej burzy,
Bo wie, że znajdzie schronienie,
Jeśli się niebo zachmurzy.*

*Jak ptaszęta, tak my mamy
Ojca naszego na niebie;
Więc jak dzieci Mu ufamy
Z miłością w każdej potrzebie.*

11. *Domy Boże.*

Na cześć i chwałę Pana Boga budują ludzie kościoły czyli domy Boże. Tutaj bogaty i ubogi, stary i młody klękają w pokorze, jako dzieci jednego Ojca i zasyłają gorące modły do Stwórcy. Przed ołtarzem odprawia kapłan Mszę świętą, na chórze wygrywa organista nabożne pieśni, a lud cały śpiewa Panu Bogu na chwałę, składa dzięki za otrzymane dobrodziejstwa lub zanoszą do Ojca w niebiesiech prośby o nowe łaski.

Każda rzecz w świątyni przejmuję nas uszanowaniem. Wszystko nam przypomina, że jesteśmy w domu Bożym, że trzeba się w nim zachowywać przyzwoicie, skromnie i pobożnie. Gdy wejdiesz do kościoła, skłoń głowę, przeżegnaj się uczciwie, uklęknij, wyjmij książeczkę i módl się pobożnie a szczerze.

Kościół w miastach bywają wielkie i wspaniałe, a na wsi są mniejsze i uboższe; lecz i tu i tam mieszka ten sam Bóg: równie miła Mu jest kapliczka drewniana, jak wspaniała świątynia z kamienia.

W Polsce naszej jest wiele pięknych kościołów, bo Ojcowie nasi chętnie dawali ofiary na chwałę Bożą. Kościół, przy

którym jest siedziba biskupa, nazywamy katedrą. Najpiękniejsza jest w Polsce katedra w Krakowie. Wznosi się ona obok zamku dawnych królów polskich na wzgórzu Wawel. Jest tam wiele drogich pamiątek. Pod kościołem są sklepione kaplice, w których spoczywają zwłoki królów polskich, a nadto trzech zasłużonych mężów: Naczelnika Tadeusza Kościuszki, Księcia Józefa Poniatowskiego i wielkiego poety Adama Mickiewicza.

Są także kościoły połączone z domami, w których mieszkają zakonnicy. Domy takie zowią się klasztorami. O kilkanaście mil od Krakowa wznosi się znany klasztor OO. Paulinów w Częstochowie ze świątynią, zbudowaną na cześć Najświętszej Panny Marii. Wielu ludzi odbywa pielgrzymkę do Częstochowy, gdyż obraz Matki Bożej słynie tam od wieków cudami.

Kościoły grecko-katolickie nazywają się cerkwiami.

12. Na chwałę Bożą.

Był raz król potężny i bogaty. Postanowił on wybudować wspólną świątynię własnym kosztem. Ogłosił więc w całym państwie, by się nikt nie odważył przyczynić choćby groszem do wzniesienia budowli. Niezliczone sumy kosztował ten kościół, lecz król nie żałował skarbów, powtarzając ciągle: „To na większą chwałę Bożą!“

Tysiąc par wołów zwoziło ogromne ciosy; tysiąc kamieniarzy, murarzy i innych rzemieślników krzątało się gorliwie na miejscu budowy. Wreszcie ukończono świątynię i nad głównem wejściem wmurowano marmurową tablicę, na której błyszczał złotymi literami napis: „Kościół ten zbudował na chwałę Bożą król Teodor.“

Lecz jakże się zdziwił król, gdy mu nazajutrz doniesiono, że ktoś zmienił napis. Udał się do kościoła i przekonał się, że napis tak był zmieniony: „Kościół ten zbudowała na chwałę Bożą wdowa Rzepicha.“ Król kazał napis poprawić i strzedz pilnie tablicy. Lecz następnego poranku napis znowu był zmieniony, a straż zeznała, że nie widziała nikogo, kto by mógł być sprawcą tej zmiany. Powtórzyło się to samo i dnia trzeciego. Wtedy król zrozumiał, że to palec Boży i wyznał na Spowiedzi św., że budując kościół, myślał zawsze o tem, jak to ludzie będą sławili jego zamożność, hojność i pobożność. Śnać Pan Bóg, czytający w sercach ludzkich, widział, że król budował świątynię nie na chwałę Bożą, lecz dla własnej sławy. Nie zmieniał już odtąd król napisu; lecz kazał szukać owej nieznaney wdowy Rzepichy, by się dowiedzieć, czem ona przyczyniła się do budowy świątyni.

Po pewnym czasie przyprowadzono wdowę bardzo strwo-

żoną przed oblicze króla. Była to uboga staruszka pracująca na życie przedzeniem lnu.

— Czem przyczyniłaś się do budowy świątyni Pańskiej w mej stolicy? — zapytał król. — Gdzieżbym miłośniwy królu i Panie odważyła się przekroczyć Twój zakaz! — odpowiedziała wdowa. — Nie przyczyniłam się niczem do budowy świątyni; jestem na to zbyt uboga. Chciałam jednak uczynić coś na chwałę Bożą, a że mieszkam blisko świątyni i widziałam nieraz, jak pomęczone woły ciągną ogromne kamienie do tej budowy, więc kupiłam wiązkę siana i położyłam przy drodze, aby trochę posilić bydłęta. Woły zjadły moje siano.

Król upokorzył się w duchu przed mądrością Bożą. Zrozumiał, że Bóg ceni nie wielkość ofiary, lecz serce tego, który dar składa. Odtąd czynił król jeszcze wiele dobrego, lecz zawsze tak, by lewica nie wiedziała, co daje prawica.

13. Z Bogiem.

1. „Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!“
Tak mawiali starzy;
Gdy pomocy Boskiej wezwiesz,
Wszystko ci się darzy.
2. Masz się uczyć, to pamiętaj,
Z Bpgiem zacząć, działwo,
On to sprawia, że nauka
Pójdzie w głowę łatwo.
3. Idziesz w pole, masz siał zboże,
Z Bogiem zacznij pracę;
Bóg powiedział: „Ręk dokładaj,
A ja cię zbogacę“.
4. Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu,
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu!
5. Czy na rzekę spuszczasz statki,
Z Bogiem — zwyczaj stary;
Bóg ochroni od przypadków,
Przywieziesz talary.

6. „Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!“
Tak mawiali starzy;
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się darzy.
-

14. Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą twe koi łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o starych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż?
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść z tych zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

Maria Konopnicka.

15. Dworek.

Jak to ja sobie
Do nek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworzec ojcowy!
Najprzód przed drzwiami
Lipę zasadzę,
Wkoło płotami
Sad oprowadzę.

Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.
Będą przy stawie
Chodziły pawie.
Pod stodołami
Na ziarno pszenne
Białe gołębie,
Goście codzienne.

Jeśli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie.
Przy nim mosiężne
Wiszą kółeczka.
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.

A zechce bawić,
To jak zwyczajnie:
Konia postawić
Każe się w stajnie.
Gdzie konieczyną
Poza drabiną,
Przy czystym żłobie
Przegryzie sobie.

A że wypędzić
Pragnę lenistwo, —
A lubię ryby
Oraz myśliwstwo;
Więc już psów chmara:
Bo od ogara
Aż do jamnika,
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi;
To będzie siatka.
Słowem, co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąka i ląka.

Teofil Lenartowicz.

16. Powrót do rodzinnej wioski.

Drogą ku wsi szedł staruszek. Włos miał siwy; zmęczony — opierał się na kij, a postępował zwolna. Skoro zobaczył wioskę, zatrzymał się, ręce podniósł do góry i zawołał: „Boże! dziękuję Ci, żeś mi pozwolił zobaczyć raz jeszcze przed śmiercią miejsce rodzinne i że będę mógł złożyć swoje kości tu, gdzie

spoczywają ojciec mój i matka moja, dziad, pradziad i wszyscy moi.“ Łzy popłynęły z oczu starca, upadł na kolana i ucałował ziemię.

Przy drodze bawiły się dzieci. Zaciekawione widokiem obcego, zbliżyły się i otoczyły nieznanego sobie starca. Widocznie przybywał on zdaleka, bo odzież jego okryta była kurzem, a odmienną od stroju, jaki nosili mieszkańcy wioski.

Powstał po chwili staruszek i zapytał: „Moje dzieci, czy daleko stąd mieszka Szymon K_rzemyk?”

Żadne z dzieci nie wiedziało.

„A Jakób Kanarek?” pytał dalej.

„Ten umarł niedawno,” odpowiedziały dzieci.

„Panie świeć nad jego duszą,” szepnęła starzec.

„A Wojciech Duderski?”

„Stary Wojciech kulawy siedzi w szpitalu,” zawołał jeden z chłopczyków.

„A Maciej Wąsatko?” pytał podróżny.

„To mój dziadek,” rzekła mała dziewczynka.

„Twój dziadek?” rzekł nieznamy, uśmiechnął się i pogłaskał dziewczę po jasnych włosach. „To zaprowadź mię, dziecko, do niego.

„A wy skąd jesteście, dziadku?” zapytało jedno ze starszych dziewcząt.

„Moje dzieci, ja tutejszy, jak i wy, ale nie znacie mnie, bo dawno już, dawno stąd poszedłem w świat między obcych ludzi.“

„A kogo macie tutaj we wsi z rodziny?”

„Nikogo, mój ty maleńki, nikogo,” szepnęła staruszek i szedł do wsi, a z nim gromadka dzieci.

Starzec mówił dalej: „Wszyscy moi dawno pomarli i krewni i przyjaciele i znajomi. A przecież jakże się cieszę, że wróciłem tu, gdzie pierwszy raz świat ujrzałem, gdzie mię matka wychowywała, gdzie przeżyłem młode lata. Dobrze mi było w świecie między ludźmi, ale zawsze tęskniłem za moją wioską i prosiłem codziennie Boga, aby mi pozwolił wrócić do swoich. I Pan Bóg miłosierny wysłuchał modlitwy, za co Mu dzięki, dzięki nieskończone. Już się stąd nie ruszę, j złożę głowę na naszym cmentarzu. Prędzej tu kto za mną pacierz zmówi, bo przecież tu wszyscy moi.“

To mówiąc, starowina doszedł do domu, w którym mieszkał towarzysząc jego lat młodych.

17. Nasz domek.

O jakże ja kocham
Ten domek nasz drogi,
Te ściany bieluchne,
Te lipowe progi.

O, jakże ja kocham
Ten dach nasz pochyły;
Na którym się zawsze
Bociany gnieździły.

Tu codzień do Boga
Zanoszę błaganie
Przed świętym obrazkiem,
Co wisi na ścianie.

Ten domek nasz stary
Nie od dziś już stoi;
A przecież się burzy
I wichrów nie boi.

Ten domek nasz stary
— Słyszałem od taty —
Dziad naszego dziada
Budował przed laty.

Więc jak cię nie kochać,
Nasz domku ubogi?
Nad wszystkie pałace
Ty jesteś mi drogi!

18. Dla czego wieś rodzinna jest człowiekowi najmilsza?

Wieś rodzinna najmilszą nam jest, bo w niej najpierw ujrzeliśmy światło dzienne. Tu po raz pierwszy widzieliśmy kwitnące drzewa, zielone łąki, płynącą wodę, wesołe zwierzęta, jasne słońce, pogodne niebo, iskrzące się gwiazdy i wszystkie cuda stworzenia. We wsi rodzinnej znamy każde drzewo i drzewko, każdy kącik, każdą ścieżkę, każdą miedzę. Nieraz staliśmy i bawiliśmy się nad strugą, w której od naszego urodzenia woda płynie i płynie; przypatrywaliśmy się rybkom w niej migającym, żabom skakającym po trawie. W tym stawku często przeglądaliśmy się i widzieliśmy w nim niebo i drzewa. W wiosce rodzinnej patrzyliśmy i patrzymy codzień latem, jak pod wieczór owce wracają z pola, a owczarek im przygrywa; jak syte bydelko ciągnie z pastwiska do domu; jak rolnicy spieszą do swych zagrod; jak żniwiarze dzwonią kosami i nucą wesoło; jak jasne słońce spuszcza się za góry i za lasy; jak się zorza pięknie rumieni, jak gdyby niebo ogniem płonęło, a słowik w sadzie wyśpiewuje pod niebiosy. Wszystko nam we wsi rodzinnej znajome i miłe. I ten kościółek drewniany, w którym rodzice nasi i znajomi się modlą; miłe rodzinne drzewa na cmentarzu i stare lipy, dęby, kasztany i wierzy; miły rodzinny dzwonek na wieży, co zwołuje ludzi w święto na nabożeństwo, a pod wieczór wzywa do modlitwy lub na pogrzeb dzwoni. Miłe nam rodzinne sady, ślicznym kwiatem na wiosnę strojne. Chatka wiejska w

nich się kryje. Miłe nam łąki rodzinne, na których rosną wonne kwiaty, a motyle latają z kwiatka na kwiatek, gdzie brzęczą pszczoły, a dojne krowy pasą się przy wesołym pastuszk. Miła nam rodzinna rola, którą orze pracowity rolnik, podczas gdy skowronek mu przyśpiewuje. I miły ten krzyż przy drodze, mimo którego ludzie przechodząc, Boga wspomną i czapki uchylą. Miły nam bocian, co każdej wiosny do nas wraca, gniazdo naprawia, klekoce i na wieś patrzy, We wsi rodzinnej wszystko nam drogie, wszystko od dzieciństwa znamy i kochamy. To też i siwemu staruszkowi najmilej we wsi rodzinnej: tu, a nie gdzieindziej pragnie on oczy zamknąć i kości złożyć; bo tu spoczywają prochy ojca jego, dziada i pradziada.

19. Domek rodzinny.

Witaj domku mój rodzinny,
Dworku biały z faejiatką;
W tych to ścianach wiek niewinny
Przepędziłem z ojcem, z matką...

Biały domku ukochany,
Każdy kącik sercu drogi;
Mile sercu cztery ściany,
Dziś całuję twoje progi.

Tu mi życie matka dała,
Moja dobra, matka droga;
Tu mnie matka wychowała
I uczyła kochać Boga.

Tu mnie ojciec mój pocziwy,
Dobry ojciec, choć surowy,
Czcic nauczał wiek sędziwy,
Słodkiej sercu uczył mowy.

Witaj, domku mój drewniany,
Pelen wspomnień i pamiątek;
Witaj, dworku ukochany,
Skarbie drogi świętych szczątek!
Pod tem drzewem rozłożyłem
Ptasząt śpiewu ja słuchałem;
Dziecko jeszcze, sercem czystem
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.

W kropli rosy kryształowej,
Co zdobiła kwiatki, ziółka,
Bóg malował świat różowy,
A jam widział tam aniołka.

O! były to chwile błogie.
Niewinnością dziecka tętnące;
Przeminęły dni te drogie,
Pozostały lzy gorące.

Przeminęła ma jutrzienka,
Dni dziecięcych zwiędły kwiatki;
Tęczy mi w duszy brzmi piosenka,
Cóż ją słyszał od mej matki.

O! czas dąży chyżym krokiem;
Gdzie był uśmiech, dziś mogiły.
Żegnam cię znów łzawem okiem,
Mój rodzinny domku miły!

Żegnam drogie twoje ściany!
Głos przyszłości brzmi z daleka;
Idę, idę w świat nieznany, —
Gdzie powinność, ludzkość czeka...

20. Najlepiej w domu.

Nie wiem. gdzie tam lepiej komu;
Każdy panem swojej woli.

Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na mej roli.

Sięję sobie swe zagony:

Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie pędzą drudzy

Gdzieś po szczęście na kraj świata.

Mnie nie nęci zagon cudzy,

Mnie najmiłsza własna chata.

Tum się zrodził, tum jest chrzcony:

Niech Bóg będzie pochwalony!

21. Nie wstydź się swego rodu.

Na początku zeszłego wieku panował we Francji potężny cesarz Napoleon I., który prowadził ustawicznie wojny z rozmaitemi narodami. W wojsku jego służyło także wielu Polaków pod księciem Józefem Poniatowskim, a między nimi pewien wieśniak, nazwiskiem Komorek. Był on dzielnym żołnierzem, to też dosłużył się stopnia kapitana i orderu. Księżę Józef znał dobrze Komorka i polubił go bardzo. Pewnego razu wziął go pod rękę i rzekł: „Kapitanie! wiesz o tem, że cię szanuję i uważam za swego przyjaciela. Jesteś waleczny, odniosłeś w bitwach kilka ran, a za męstwo otrzymałeś krzyż zasługi i dosłużyłeś się stopnia kapitana. Łatwo i większych mógłbyś dostąpić godności, ale na to potrzeba, ażebyś został szlachcicem. Otóż radzę ci, jak przyjaciel, zmień rodzinne nazwisko, przezwij się Komorowskim. a ja się już postaram o to, abyś został policzony między szlachtę.“

„Nie, mości księżę!“ rzekł kapitan Komorek; „nigdy nie rozstanę się z nazwiskiem, które odziedziczyłem po ojcu. Nie wstydzę się tego, że jestem synem włościanina. Nie chcę, żeby się tem szczycił Komorowski, na co sobie zasłużył Komorek.“

Ujęty tą odpowiedzią księżę Józef uściśkał Komorka, a towarzysze broni, dowiedziawszy się o zacności kapitana, szanowali i kochali go odtąd jeszcze więcej.

22. Trzech przyjaciół.

Człowiek pewien miał trzech przyjaciół; dwóch kochał bardzo, a dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten z nim najrzetelniej postępował. Pewnego razu zawezwano go do sądu, gdzie niewinnie był oskarżony o ciężkie przewinienie. „Kto z was,“ odezwał się do przyjaciół, „pójdzie ze mną, aby za mną świadczyć; jestem oskarżony, a sędzia jest bardzo zagniewany.“

Pierwszy z przyjaciół wymówił się, że dla ważnych interesów pójść nie może. Drugi przyjaciel zaprowadził oskarżonego aż do drzwi sądowych, ale potem wrócił się z obawy przed surowym sędzią. Trzeci zaś, na którego najmniej liczył, tak wymownie świadczył przed sądem, że sędzia uwolnił oskarżonego.

Takich trzech przyjaciół ma każdy człowiek na tym świecie. Jakżeż się oni zachowują w godzinę śmierci, gdy nas Bóg przed sąd swój wzywa? Pieniądz, najlepszy przyjaciel, najpierw nas opuści i nie idzie za nami. Krewni i przyjaciele towarzyszą nam do grobu i wracają smutni do domu. Jedynie trzeci przyjaciel, o którym w życiu często zapominamy, uczynki dobre towarzyszą nam przed Tron Najwyższego; idą przed nami, przemawiają za nami i jedyną nam miłosierdzie i łaskę Boga.



23. Do przyjaciela.

Na tem tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę Niemnową pitem,
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochałem, byłem kochany;
Ściśnij mnie Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

Za co mi stanie, że mówię śmiało:
„Nic mnie od ciebie nie oderwało“.
Ktoś klóci ludzi, ktoś miasta wali,
My się w zaciszu stale kochali.
Ściśnij mnie Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

Niech mi tu twardy kamień postawia,
Którego późne lata nie strawia;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
„Dwóch ludzi było jednym człowiekiem“.
Ściśnij mnie Filon, wzajem ściśnięty,
Śpiewajmy słodycz Przyjaźni świętej.

24. Wieczór na wsi.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy:
Po wsi ściągają się działki,
Niosąc jagody i kwiatki.

Ptaszek, śpiewem utrudzony,
Już się zniża na zagony;
Rolnik, co razem z nim nucił,
Pole z wolkami porzucił.

Na kościółku krzyż blaszany
Błyszczy, blaskiem zórz oblany;
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Dzwonka wołanie się szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie
Marji śle pozdrowienie.

Krzyż spruchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony,
Wiatr chorągiewką kołysze
I smutną przerywa ciszę.

Na pagórku, ponad łąny,
Stoi prosty słup drewniany,
Na nim w cierniowej keronie
Zbawca świata skłonił skronie.

25. Siejba.

„Powiedz mi, mój ojciec luby,
Czemu rzucasz w ziemię zboże?
Czemu próżnej szukasz zguby?
Wszak ze zboża chleb być może!

Ja ci wybieram troskliwie
I zaniosę je do młyna;
Na co ma gnić na tej niwie?“
Tak mówił mały chłopczyzna.

„Synu!“ rzekł ojciec sędziwy,
„To zboże mi tu nie zginie;
Ujrzysz, nim jeszcze rok minie,
Ile zbierzemy z tej niwy.“

Siejcie, dzieci, w sercu cnoty,
Miłą cieszcie się nadzieją;
One tam pięknie dojrzeją
I przyniosą wam plon złoty.

26. Sierotka.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, a gdy nadeszło południe, ludzie spieszą z pola do domu, aby posilić zmęczone ciało i chwilę wypocząć. Jaś i Anusia wyglądali powrotu matki z pola, bo głód im mocno dokuczał. Przybyła wreszcie matka i zakrzętała się około ogniska. Jaś przyniósł suchego drzewa, Anusia czystej wody, ogień zapłonął na kominie i wnet obiad był gotów. Wówczas dzieci z matką zasiadły do stołu i smacznie zjadać poczęły ubogą strawę. Wtem na progu izby stała biedna wybladła dziewczina. Była to sierotka Marysia. Matka biednej dziewczyny oddawna śpi już w zimnej mogile, nikt więc o obiad dla sierotki się nie troszczy. Wychudła z głodu dziecię nie śmie postąpić dalej, lecz trzęsie się z osłabienia, a rzewne łzy płyną z ocz jego, gdy patrzy, że drudzy jedzą. Matka spostrzegłszy biedną sierotę, przywołuje ją do stołu, a dzieci zaś robią jej miejsce przy stole. Nakarmiono i pocieszono biedną dziecinę. Litościwą matkę i jej dzieci sowiec Bóg wynagrodził za to, że spełnili rozkaz Chrystusa Pana, który każe: Łaknących nakarmić, nagich przyodziać!

27. Gil i słowik.

Pan gil z słowikiem wszedłszy w przymierze
W znajome lasy gdzieś tam wędrował.
Pierwszy miał cudne nad podziw pierze,
A drugi głosem wszystkich celował.

Ledwo co weszli do boru oba,
I spojrzeć nie chce nikt na słowika.
Wszyscy do gila: To mi osoba!
A ten być nie wart za pacholika.

Lecz kiedy słowik zaśpiewał czysto
I wszyscy dali dank jego pieniu,
Zgasłeś jak klecha przed organistą,
Mój panie gilu, w krasnem odzieniu.

Małoż jest takich gilów na świecie,
Których bez zasług odyma pycha?
Wielcy z pozoru tylko, a przecie
Habit, jak mówią, nie czyni mnicha.

Adam Naruszewicz

28. O porządku i czystości w ogrodzie.

Porządek i czystość — to piękne zalety i prawdziwa ozdoba każdego człowieka a przede wszystkim gospodyni! Jeżeli gospodyni domu na każdym kroku odznaczać się powinna porządkiem i czystością, to niemniej starać się powinna o to i w ogrodzie. Jak ptaka po pierzu, tak każdą gospodynię poznać można po czystości nie tylko w domu i spiżarni, ale także na podwórzu i w ogrodzie.

Porządek i czystość — to największa zaleta i ozdoba ogrodu! Ogród mały a czysty i schludny robi daleko miłsze na człowieka wrażenie i piękniej się przedstawia, aniżeli ogród obszerny, wyborowemi napełniony kwiatami i warzywami, a bez ładu i składu, zarosły zieliskiem i rozmaitemi chwastami. Każda ścieżka, każdy zagon powinien być równy i prosty. Ścieżki powinny być zawsze starannie zagrabione i oczyszczone ze zieliska, i najmniejszej trawki, które łopatą lub motyką starannie tępić należy.

Podobną czystością odznaczać się winna każda brzołka i każdy najodleglejszy zakątek ogrodu. Przede wszystkim tępić należy pokrzywy, perz i lebiodę, które, pozostawione samym sobie, w krótkim czasie po całym rozplenią się ogrodzie.

Wszelkie chwasty w ogrodzie powinno się tępić przed okwitnieniem tychże i dojrzaniem nasienia, gdyż w przeciwnym

razie nietylko wyjąłowieją one znacznie ziemię, ale nad to dojrzałe nasiona rozrzucają się po całym ogrodzie, wskutek czego z jednego zialska w roku przyszłym wyrosnie kilkaset nowych. Rozplenianiu się zielska zapobiega najwięcej głębokie przekopywanie ogrodu na zimę, przez co świeże nasienie dostaje się głęboko pod ziemię i tamże niszczeje, natomiast nasienie znajdujące się w ziemi wydobywa się na wierzch, gdzie je wytepią należycie mróz, słońce i ptastwo.

29. Tulipan i fiołek.

Tulipan okazały bardzo się o to gniewał, że fiołek przyjaźnił się z pokrzywą. Tegoż właśnie poranku pan wszedł do ogrodu i widząc piękne kwiaty, zerwał tulipan. Chciał także zerwać fiołek, ale się pokrzywą sparzył. Tulipan widząc, że fiołek ocalał, rzekł po niewczasie: „I wzgardzony przyjaciel może nam być pożytecznym!“

30. Sługa Boży.

Ciepły dzień wiosenny wywabił mieszkańców Krakowa na przechadzkę. Wyszła także uboga staruszka, która całą prawie zimę przeleżała w łóżku. Uszła niedaleko; siły ją opuściły i usiadła na ziemi, a natychmiast otoczyła ją gromadka ludzi. Niektórzy pospieszili chorej z pomocą i położyli ją na ławce.

Przechodził właśnie tamtędy ksiądz biskup krakowski. Zobaczywszy chorą, zbliżył się do niej i zapytał, czy nie pragnie wyspowiadać się. Staruszka wyszeptała: „Proszę.“ Wtedy ksiądz biskup wyjął z kieszeni stułę, złożył ją na siebie, ukląkł przy chorej i rozpoczął spowiedź.

Był to widok rzewny i piękny zarazem, gdy biskup niósł pociechę religijną i spełniał obowiązek kapłański względem ubogiej kobiety. Wszyscy obecni usunęli się na bok z uszanowaniem i odkryli głowy. Po spowiedzi odwieziono chorą do szpitala.

31. Dobroczynny Władzio.

Władysław będąc raz na przechadzce spotkał małego kalekę chodzącego o kulach; znoszona odzież kaleki świadczyła o wielkiem ubóstwie.

Uderzony tym smutnym widokiem, zapytał biednego chłopca o rodziców jego.

„Rodzice moi już dawno umarli,” odpowiedział ubogi chłopiec.

„Któż cię więc utrzymuje?” zapytał Władysław.

„Ojciec niebieski,” odrzekł chłopczyk. „On ma o mnie staranie. On zsyła ludzi litościwych, którzy udzielają mi nieco z tego, co mają na własne potrzeby.”

Słowa te równie żywo wzruszyły czułe serce Władzia. Dał mu wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, zaprowadził go do swego domu i poprosił matkę, aby mu stale co tydzień dawała wsparcie.

Ubogi chłopczyk dziękował z rozrzewnieniem dobroczynnemu Władziowi, a kto tylko usłyszał o pięknym postępku młodzieńca, nie mógł go się dosyć chwalić. Matka radowała się szczerze z pięknego czynu Władzia w nadziei, iż wyrośnie on na zacnego i cnotliwego człowieka i nie cofnie się przed żadną trudnością, gdy trzeba będzie poratować bliźniego.

32. Koledzy.

Antoś, Ludwiś i Czesławek uczyli się razem, żyli w wielkiej zgodzie i przyjaźni. Lekcji nigdy nie opuszczali.

Razu jednego nauczyciel ze zdziwieniem zastał dwóch tylko chłopców na lekcji: Antosia i Czesławka.

— Cóż się stało Ludwikowi? — zapytał.

Obaj chłopcy mieli bardzo poważne miny.

— Upadł wczoraj i zwichnął nogę, — odpowiedzieli Antoś.

— Gdzie? Jakim sposobem?

— Goniliśmy się na podwórzu u Czesławka. Ludwiś widać źle stąpnął i już podnieść się nie mógł. Doktor powiedział, że poleży z tydzień.

— Biedny chłopiec! — rzekł nauczyciel. — Trzeba będzie przenieść lekcje do niego, bo straciłby wiele.

Chłopcy spojrzeli na nauczyciela z wdzięcznością.

Rozpoczęła się nauka. Antoś odpowiadał jak zwykle wybornie, ale Czesławek jękał się, zacinał, czerwieniał, widoczne było, że niewiele umie. Nauczyciel znów się zdziwił. Czesławek spuścił oczy, ale milczał.

Zaczęła się arytmetyka. Tym razem Antoś rozwiązał doskonale dość trudne zadanie i z radością podał zeszyt nauczycielowi. Czesławek wyjął swój zeszyt także, lecz była w nim tylko zaczęta i przekreślona robota.

— Co się to stało? — spytał nauczyciel. — Nie jesteś dziś przygotowany na lekcję. O lenistwo cię nie posądzam, lecz powiedz mi, dlaczego nic nie zrobiłeś i nie umiesz?

Czesławek nie chciał rozplakać się, więc milczał, Antoś jednak odpowiedział za niego:

— On, proszę pana, odwiózł Ludwisia do domu, a że niktogo prócz służącej nie było, został przy nim, okładał mu nogę zimną wodą, i tak zeszło do wieczora. Potem głowa go rozboleła i nie mógł się już uczyć, ani zrobić zadania.

— Skąd wiesz o tem?

— Sam opowiadał mi dzisiaj.

— A ty byłeś przy tym wypadku?

— Byłem, proszę pana.

— I nie odwiózłeś Ludwisia?

— Czesławek się nim zajął, więc nie byłem potrzebny, a obawiałem się, że potem nie zdążę odrobić lekcji.

— Bardzo byłeś przezorny, ale wiesz co, Antosiu? — postąpiłeś, jak somolub. Koledze powierzyłeś cały trud opieki, a sam myślałeś tylko o sobie.

Antoś się zarumienił, a w jego spojrzeniu odmalował się przestrah.

— Czesławek nie umie lekcji — ciągnął dalej nauczyciel — ale nie wskutek lenistwa, tylko przez dobroć serca, przez to, że spełnił obowiązek względem towarzysza, który potrzebował jego pomocy. Podaj mi rękę, Czesławku, jesteś zacnym chłopcem, a to więcej znaczy, niż pilność i nauka.

Czesławek, uszczęśliwiony, podał rękę nauczycielowi, który uściśnął ją serdecznie.

— Proszę pana i Antoś zrobiłby to samo — odezwał się nieśmiało.

— Nie wątpię o tem wcale. Gdyby ciebie nie było, Antoś zaopiekowałby się Ludwikiem; był jednak zadowolony, że go w tem wyręczyłeś, i nie pragnął ci dopomóc.

Czy mam słuszność, Antosiu?

— Tak, proszę pana.

— Mnie tylko o to chodzi, żebyście zrozumieli, że pilność jest wielkim przymiotem, ale dobroć daleko większym. Że więcej wart człowiek zacny i szlachetny, niż mądry i uczony, a samolub, — i pragnę bardzo, żebyście o tem pamiętali.

Chłopcy przyrzekli szczerze i dotrzymali słowa, bo zrozumieli, że uczonych ludzi należy szanować, ale że kochamy tylko ludzi dobrych i szlachetnych.

33. Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrzy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Trwoniąc życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą...

Adam Asnyk.

34. Słowik.

Na różanym kwiecie
Siadł słowik maleńki;
Śpiewa, a nikt nie wie,
Skąd on wziął piosenki.

A tak śpiewa pięknie,
Taki głos uroczy
Że aż serce mięknie,
Zbiegła-ża na oczy.

Patrzy Staszek mały,
Podniósł wzrok w niebiosa,
Łzy w oczętach stały,
Jak na kwiatkach rosa.

— Powiedz — rzekł — słow-
Śpiewna ty ptaszyno, [wiczku,
Dla kogo twe piosenki,
I skąd one płyną?

— Skąd me piosenki płyną?
Nie dziw się ni trocha,
Śpiewa zawsze pięknie
Ten, kto mocno kocha.

Kocham noc majową
W księżycu pozłocie,
Gdy nad moją głową
Świeci gwiazdek krocie.

Kocham krzewy, zdroje
I łąkę kwiecistą,
Kocham gniazdko moje
I ziemię ojczystą.

K. Gliński.

35. Do wiosny.

Franc. Karpińskiego.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci,
A memu światłu cóż to się stało,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już słowik w lesie zaczął swe pieśń,
Gaj mu się cały odzywa;
Kłóćą powieńrze ptaszkowie leśni,
A mój mi ptaszek nie śpiewa.

Już tyle kwiatków ziemia wydała
Po onegdajszej powodzi.
W różne się barwy łąka przybrała;
A mój mi kwiatek nie schodzi:

Już się i zboże do góry wzbilo
I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło,
A mej pszeniczki nie widać.

O wiosno, pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd słoskany,
Jużem tę ziemię łzami urosił!
Wróć mi urodzaj kochany!

36. W ogrodzie.

Helenska. Obejrzyj, tatusiu, mój zagon w ogrodzie.

Ojciec. Cóż tam posiałas?

Helenska. Rzodkiewkę i groszek, które dostałam od mamy. Rzodkiewka już zeszała, przynajmniej myślę, że to rzodkiewka, chociaż co prawda, listki jej wcale niepodobne do listków rzodkiewki.

Ojciec. A czy wiesz o tem, że prawie wszystkie rośliny mają dwa pierwsze listki czyli liścienie zupełnie odmienne od późniejszych?

Helenska. Nie wiedziałam o tem.

Ojciec. To pozbieraj, ususz sobie i włóż do zielnika kielkujące roślinki różnych drzew leśnych, jak buk, jesion, klon i jawor. Przekonaj się, że liście ich są zupełnie inne, niż liście właściwe.

Helenska. Kasztan już zasiałam, ale jeszcze mi nie wszedł. A oto rzeżucha. Gdy podrośnie, zaniosę ją do kuchni. Marysia zrobi z niej sałatę. A później posieję tu marchewkę.

Ojciec. Widzę i truskawki, same dobre rzeczy. Ale rosną za gęsto.

Helenka. A dlaczego rozrosły się one tak szeroko?

Ojciec. Dlatego, że truskawkom wyrastają długie, pełzające odnogi, niby wąsy. Są to tak zwane rozłogi. Na końcu każdego wąsa tworzy się nowy krzaczek; najpierw kilka listków, a z pod nich puszczają się korzonki w ziemię.

Helenka. A czy inne rośliny też się tak rozmnażają?

Ojciec. Znasz ich kilka z pewnością.

Helenka. Aha, wiem, zdaje mi się, że barwinek tak samo się rozrasta. Ten o niebieskich kwiatkach i o twardem, zawsze zielonem liściu, co płoży się po ziemi.

Nadszedł tymczasem Janek z Antosiem i zawołał:

Janek. I jaskier pełzający i dąbrowka i pięciornik także.

Ojciec. Dobrze, Janku. Widzimy więc, że wiele roślin rozmnaża się nie tylko za pomocą owoców i latorośli, ale i przez odnogi. Czy te odnogi zawsze się płożą po ziemi.

Janek. Niekoniecznie. U topoli i bzu widać, jak obok starego pnia wyrastają proste, młode pędy. Później rozwijają się z nich nowe krzaki.

Ojciec. A wiecie wy coś o tych drobnych kłączach czyli cebulkach, które od macierzystej rośliny odłączają się i nową tworzą roślinę.

Antoś. Wiem. Jadamy je. Kartofle.

Janek. A narcyzy, hiacynty i tulipany. Wszakże to u nich wyrasta co roku przy starej cebuli młoda cebulka.

Ojciec. Nie jest to właściwie rozmnażanie się, bo zeszłoroczna cebula i kłącz obumierają, a młoda je zastępuje. Ale u niektórych roślin jest cebulek czyli kłączy tak wiele, że powstaje mnóstwo nowych roślinek. To są tak zwane pasierby. W ten sposób rozmnaża się czosnek, cebula, szczypiorek, pory, które obok selerów, kalafiorów i innych warzyw nazywamy włoszczyzną.

Janek. Skąd pochodzi ta nazwa?

Ojciec. Z Włoch. Warzywa te sprowadziła z Włoch do Polski królowa Bona, żona Zygmunta I, króla polskiego, a matka Zygmunta Augusta. Była ona Włoszką i przywiozła z sobą wiele zwyczajów i urządzeń włoskich, nazywanych włoszczyzną, a używanych do potraw. Z dworu królewskiego rozeszły się te warzywa po całym kraju.

Antoś. Wolabym ja na swym zagonie zamiast cebuli, czosnku, selery i innej włoszczyzny uprawiać górskie rośliny, te, które w Tatrach rosną. Chciałbym mieć szafirowe gencjany i różowy krokus i szare, śliczne szarotki. Zrobię sobie z kamieni

małą skałkę, naniosę między kamienie trochę ziemi i posieję górskie rośliny. Co tatuś na to?

Ojciec. Możesz posiać. Ale nie na zagonie, tylko na środku trawnika przed domem.

Antoś. Cieszę się na szarotki. Mają kwiaty jak gwiazdy z szarego aksamitu.

Ojciec. Tutaj ci nie urosną. Szarotka nie znosi nizin. Żyje tylko w górach. Na nizinach brzydnie, traci swój biały kutnerek i ginie. Ale posadzimy rozchodnik, kluczyki, złomikamięć i gencjany oraz inne kwiaty górskie.

Janek. Dlaczego kwiaty w górach są tak duże i piękne?

Ojciec. Bo mają dużo światła i chcą żywymi barwami przynęcać jak najwięcej owadów. Jak wam wiadomo, owady siadają na kwiaty i zbierają miód. Jednocześnie oddają one kwiatom wielką usługę i przenoszą pyłek kwiatowy z pręcików na słupki, pomagają im w ten sposób w zapłodnianiu. A kwiat wdzięczny za to, daje owadom swój miód. Im kwiat większy i piękniejszy, tym łatwiej owady go znajdują. Wiosna jest w górach późna, owadów tam mało. Rośliny „spieszą się“, gdyż przez krótkie lato muszą wyrosnąć, zakwitnąć i rozmnożyć się czyli wydać nasiona. Tylko te gatunki utrzymują się przy życiu, do których w najkrótszym czasie przylatuje owad. A ci goście, pszczoła dzika, motyli, osa, trzmiel, siadają rade na kwiaty o dużych i pięknych koronach. U kwiatów podobnie jak u ludzi w handlu, w przemyśle, im większe współzawodnictwo, tem większa potrzeba ogłaszania i polecania towaru.

Antoś. Czy na moim zagonie urosłyby rośliny zwykłe rosnące na bagnach?

Ojciec. Nie. Tak jak człowiek nie w każdym klimacie zdrowie i życie zachować może, tak i roślina nie każda zadowolni się tą samą glebą. Każda potrzebuje czego innego. Weź do miasta góralczyka, juhasa, który wolny jak król było pasie na górach, i każ mu we fabryce pracować od rana do nocy, ucieknie po tygodniu, albo zmarnieje wkrótce. Z roślinami podobnie.

Helenska. A przecież rośliny, to nie ludzie, one nie czują tak jak ludzie?

Ojciec. Czują po swojemu i zależne są od miejsca, w które korzeniami wrastają. Jedna roślina lubi słońce, a inna cień, jedna grunt suchy, a druga wilgotny. Ta rośnie bujnie na glebie wapiennej, a tamta na słonej łące. Głina rodzi inną roślinność, a inną czarnoziem, jeszcze inną piaski. W twoim ogródku możesz posadzić trochę ziół aptecznych i włoszczyzny, które dawniej rosły w każdym ogródku. Dzisiaj mało kto je hoduje. Czy znasz tymianek?

Antoś. Czy to to samo, co macierzanka?

Ojciec. Nie, macierzanka rośnie dziko, a jej braciszek tymianek w ogrodach. Lewanda, szalwia ogrodowa, melisa czyli miódunka albo rojownik, który lubią pszczoły, bazylija, hyzop, czop, czombr, mięta i rumianek, to zioła apteczne. Robią z nich olejki w aptekach.

A kuchenne zioła chyba znacie?

Janek. Znamy. Pietruszka, kminek czyli karolek i koper, którego używają do kiszenia ogórków.

Ojciec. To nie wszystkie. Jest jeszcze koper włoski, kolender czyli polski pieprz, anyż, z którego robią krople na kaszel i pasternak. Gdy Hela miała pięć lat, wyśpiewywała sobie:

Tańcowała ryba z rakiem,
A pietruszka z pasternakiem.
Cebula się dziwowała,
Że pietruszka tańcowała.

Antoś. Pamiętam. Pasternak rośnie dziko na łące za ogrodem. Pójdę i narwę go.

Ojciec. Nie warto. Dziki pasternak nie nadaje się do użycia w kuchni. Marchew i selery dzikie też na nic.

Helenska. Wszystko to posieję na swoim zagonie.

Ojciec. Dobrze, zasiej też endywię, piołun czyli estragon, sałatę główkową i karczochy. I nie zapominaj o tych roślinach, których liści używamy jako warzywa. Są to: szpinak, jarmuż, lebioda, ogóreczki i kapusta, która zakiszona daje nam pyszny, polski bigos.

Janek. Jeśli rośliny dziko rosnące są niesmaczne, to skąd przyszło ludziom na myśl — tysiące lat temu — szukać ich po borach i jeść je.

Ojciec. Byli wówczas ludzie mniej wybredni od nas. Jedli to, co natura im dawała. Najpierw zaczęli hodować rośliny, zawierające mąkę, a więc zboża i strączkowe. Pismo św. opowiada, że Ezaw za miskę soczewicy sprzedał starszeństwo Jakubowi. Później w Grecji starożytnej znano już cebulę, czosnek, kapustę, dynię, rzodkiew, sałatę i buraki. Rzymianie pomiędzy innemi wprowadzili szparagi; a różne te warzywa hodować zaczęto w Polsce w ogrodach klasztornych, które z zaprowadzeniem chrześcijaństwa pozakładano u nas. Później królowa Bona rozpowszechniła włoszczyznę. Po odkryciu Ameryki przywieziono do nas stamtąd kartofle, a później pomidory, pieprz, fasolę i truskawkę ananasową, którą tak lubicie.



37. Wiosenka.

Jeszcze śnieżek pruszy,
Jeszcze chłodny ranek,
A już w cichym lesie
Zakwita sasanek.

A za nim przylaszczka
Wychyla się z pączka,
I mleczem się żółtym
Złoci cała łączka.

I dłużej już dzionka,
I bliżej słoneczka...
A w polu się gwieździ
Biała stokroteczka.

A dalej fijołki
Wśród trawy pod rosą.
W świeżych swych czareczkach
Woń przestodką niosą.

A tuż ponad strugą,
Co wiję się krętą,
Niezapominajka
Otwiera oczęta.

A w gaju wśród liści,
W wilgotnej ustroni
Konwalja bieluchna
W dzwoneczki swe dzwoni.

A wyjdiesz drożyną
Z gaju na pole,
To spotkasz modraki,
Ostróżki, kąkole.

I maczek tam wilczy
Kraśnieje wśród żyta
I różą kwiat głogu
Na miedzy zakwita.

A ścieżką zieloną,
Co z górki zstępuje,
Srebrzysty powojnik
Po świetle wędruje.

O ziemio ty droga,
Ty Boży zielniku,
I w polach i w łąkach
Masz kwecia bez liku!

M. Konopnicka.

38. Skowronek.

W końcu marca, kiedy już śniegi stopniały i ziemia zwolniła, kiedy już ukazała się zielona trawka, a śpiewał skowronek, orał pewien szczęśliwy starzec pole swoje i nucił pieśń poranną. Czerstwy był rolnik i twarz miał wesołą, chociaż już siedmdziesiąt widział wiosnę i jak wszyscy starzy ludzie różne przebyły koleje. Przyglądał mu się zdaleka pan tego pola, które wieśniak orał; pan młody i bogaty, szczęśliwym być powinien. Przyglądał się i wzdychał. Nareszcie zapytał: „Starcze! odkryj mi tajemnicę twojego zdrowia i szczęścia“. „Oto od poranku dni moich“, odpowiedział zapytany, „naśladowałem tę ptaszynę; szukałem w roli pokarmu, szukałem go pracą, a umysłem wzbijałem się w niebo“.

39. Do skowronka.

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
I my ludzie i wy ptaszki, wszystko dzieci Boże!
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.

Tyś, skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli,
O kochaniu jeno marzysz, twemu sercu gwoli;
Tyś szczęśliwy i wesoły; gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać hosanna!

Z twej piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować spieszy;
Że różnemi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
„Niechże będzie pochwalony na wieki! na wieki!”

T. Lenartowicz.

40. Wiosna.

Na wiosnę dnia ciągle przybywa, a nocy ubywa. Słońce ogrzewa ziemię dłużej i silniej, niż w zimie. Śniegi i lody topnieją, a z pod śniegu ukazuje się czarna ziemia lub zielona ozimina. Szary skowronek powraca z ciepłych krajów, trzepocze skrzydełkami pod błękitem nieba i dźwięcznym swym głosem zapowiada wiosnę.

Ciepły deszcz wiosenny zrasza pola; łąki pokrywają się zieloną trawą i kwiatami. Drzewa wydają pączki i kwitną. Owady wychodzą z zimowych kryjówek, motyle latają, pszczoły zbierają miód i pyłek kwiatowy, a muszki i komary unoszą się rojami w powietrzu.

Bydło, kozy i owce skubią zieloną trawkę na pastwisku, a pastuszek wygrywa na fujarce piękne piosenki. Z lasu dochodzi głos kukułki. Po mokrej łące kroczy na wysokich czerwonych nogach bocian biały i szuka żab. Czarna jaskółeczka o białym podbrzuszu lepi z błota gniazdeczko pod okapem i chwytą w locie muszki brzęczące.

Rolnicy wychodzą w pole, orzą, sieją, kopią, sadzą i pielęgnują, a dzieci pomagają rodzicom w pracy. Ogrodnicy oczyszczają drzewka z jajek przeróżnych owadów i ocinają suche gałęzie.

Wszystko się cieszy wiosną, a gospodarze pracują pilnie i proszą Boga o urodzaje.

41. Wiosna.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka prusza się gładko;
Jaskółki, szczebiocąc, wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.

Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
 Nad czystą, jak kryształ rzeczułką;
 I coraz to szybciej, a coraz to hyżej,
 A w kółko, a w kółko, a w kółko.

Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce.
 Pasą się dwie krówki, baranek,
 A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
 I słonko przygrzewa w poranek.

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
 To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
 Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
 W zielonym gaiku przepadnie.

Ligawka przycichnie, to dzwonek z kościółka,
 Z za lasu, z daleka zadzwoni;
 A dzwonek zamilknie, to złota znów pszczołka,
 Zabrzęczy na kwietnej, na błoni.

A pszczołka przysiadzie na świeży sasanek,
 To piosnka dziewczęcia drży w wietrze,
 O, Boże mój drogi! w wiosenny poranek,
 Jak wszystko i świeższe i letsze!

42. Natura i sztuka.

Pewnego razu przechadzał się Staś z matką po ogrodzie i ujrzał ogrodnika, który od rana obcinał, oczyszczał i szczepił drzewa.

Mamo! rzekł Staś, dlaczego ogrodnik zadaje sobie tyle pracy? Widziałem przecież w lesie tyle drzew rosnących swobodnie, a nikt ich ani nie obcina, ani szczepi, ani czyści, ani podlewa.

Prawda, synu, odpowiedziała matka. Jednakże między leśnymi a ogrodowymi drzewami wielka jest różnica.

Jaka? zapytał Staś.

Matka zamiast odpowiedzi zerwała kwiatek z klombu i owoc z drzewa i podała je synowi. Staś skosztował owocu i powiedział, że słodki, powąchał kwiatek i przyznał mu woń przyjemną.

Potem poprowadziła matka Stasia do pobliskiego lasu, zerwała kwiat polny i podniosła owoc leżący pod dziką jabłonką. Staś powąchał kwiat, lecz nie znalazł w nim woni; skosztował owocu i zaraz rzucił, mówiąc, że cierpki i twardy.

Teraz przekonałeś się synu, rzekła matka, pamiętaj, że czło-

wiek bez wychowania i nauki jest jak dzikie drzewo, jak kwiat polny. Kwiatek ten lubo piękny, woni nie ma; drzewo daje owoc, ale cierpki. Dobrze wychowany człowiek jest podobny szczepionemu drzewu, które słodki i smaczny wydaje owoc.

43. Dwa pługi.

Nad wieczorem pod szopą zeszyli się dwa pługi,
Jeden w niej zdawna leżał, z pola wrócił drugi,
Toż samo w nich żelazo, ten sam majster kował:
Pordzewiał ten, co leżał: jaśniał, co pracował.

Krasicki.

44. Karolek i słońce.

Czasem dobrze życzących nie lubiemy ludzi.

Raniulko wstało słońce i Karolka budzi.

„Ale dajże mi pokój!” rzecze rozgniewany,

„O nie,” odpowie słońce, „wslawaj mój kochany!”

„Tylko się chwilkę zdrzemnę, bo to bardzo miło!”

„Przewyciężyć lenistwo milejby ci było!”

„Ach! jakżeś uprzykrzone!” A słońce się śmiało
I w oczy mu zaglądało.

Rad nierad musiał wslawać. Ale cóż za zmiana?

Biegnie zaraz chłopczyzna do ogródka z rana.

Ogródek miłą wonią napełniony cały:

Tu się kwiatki krzewiły, tam płaszki śpiewały,

Tu rosą pokrzepione zielenią się drzewa,

Łagodny wietrzyk powiewa.

Chłopczyk, jakby na nowo na świat się urodził,

Z nieznanem doład czuciem po ogródku chodził;

Mile wspominał słońce wśród tylu słodczy

I rzekł: „Teraz poznaję, kto mi dobrze życzy.”

Jachowicz.

45. Portret.

Przed wielu laty kupiec, posiadający znaczny majątek, umarł zdala od rodzinnej ziemi. Wiedzano, że zostawił syna, który udał się być niegdyś w daleką podróż, ale nikt już sobie nawet rysów jego nie przypominał.

Po niejakiem czasie trzech młodzieńców przybyło do miasta. Każdy z nich utrzymywał, że jest jedynym synem i prawnym spadkobiercą zmarłego kupca. Sędzia, nie mogąc dociec prawdy,

kazał przynieść portret nieboszczyka, nadzwyczaj podobny, i rzekł do trzech młodzieńców: — „Który z was trafi strzałą w znaczek, jaki narysuję na piersiach portretu ojca, ten posiędzie całe dziedzictwo.“ Jeden z młodzieńców chwycił natychmiast za łuk, wymierzył i trafił daleko od narysowanego kółeczka. Drugi, wyrwawszy utkwioną strzałę, trafił cośkolwiek bliżej.

Nareszcie trzeci wziął łuk do ręki. Ale zaledwie zmierzył, zadrżał cały, zbladł jak ściana, wybuchnął głośnym płaczem, rzucił na ziemię łuk i strzałę, wołając: — „Niel, nigdy nie strzele! Wolę raczej stracić dziedzictwo po ukochanym ojcu!“

Na to sędzia wystąpił i rzekł: „Szlachetny młodzieńcze! Ty jesteś jedynym synem i spadkobiercą zmarłego. Ci dwaj panowie zanadto trafnie strzelali! Prawdziwe dziecko nie zdola przeszyć strzałą serca ojcowskiego nawet na portrecie!“

46. Drzewko.

Pewien ojciec wybierał się w bardzo daleką podróż morską. Nim puścił się w drogę, zawołał wszystkie dzieci swoje, a pokazawszy im drzewko, które trzymał w ręku, poszedł z nimi do ogródka i tam je zasadził. Wtedy rzekł ojciec: „Ile razy spojrzycie na to drzewko, przypominajcie sobie o ojcu, przebywającym w dalekich krajach. Nim to drzewko trzy razy zakwitnie, powrócę do was, jeżeli Pan Bóg pozwoli.“

To rzekłszy, odjechał, a drzewko zakwitło pięknie roku pierwszego. I drugi i trzeci raz już zakwitło, a ojca jak nie widać, tak nie widać. Nie wróci on już! Bo oto, gdy płynął daleko na morzu, powstała straszna nawałnica i rozbiła okręt o skały a ojciec utonął w głębokościach morskich.

Dowiedziawszy się o tem dzieci, płakały rzewnie i smuciły się przez długi czas, a najbardziej wtedy, gdy drzewko kwitnąć zaczynało. Wtenczas długo pod niem nieraz stały i nie mogły utulić się w żalu. Widząc to przyjaciel zmarłego ojca, przystąpił do nich i rzekł: „Posłuchajcie mnie dzieci i nie smućcie się zbytecznie: Widzę, iż to drzewko odnawia wasz żal; przesadźcie je w inne miejsce, aby żal ustąpił ze serc waszych; boć niepodobno zawsze się smucić“. Ale dzieci odpowiedziały jednogłośnie: „O nie, niechaj to drzewko zostanie tutaj. Choć nam nie kwitnie z niem radość, tylko żyz i boleść, ale są to żyz miłości i dziecięcej tęsknoty za ojcem“.

Dziecku, co rodziców swoich czcią otacza,
Bóg błogosławieństwo i szczęście przynacza.



47. Wiosna.

Stefana Witwickiego.

Błyszcza krople rosy,
Mruczy źródł po błoni,
Ukryta we wrzosey
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesolo;
W koło kwiaty wonią,
Kwitną gaje wkoło.

Paś się, błakaj, trzódko,
Ja pod skałą sięde,
Piosnkę lubą, słodką
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiewa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, chyży
Ledwo widny oku . . .
Coraz wyżej, wyżej,
Już zginął w obłoku.

Uleciał szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi . . .
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi.

48. Rezurekcja.

U stóp grobu kapłan klęka
Przed hostyją Zbawiciela,
Co z za opon, z za okienka,
Promiennemi blaski strzela.

Jeszcze zmówił ciche modły,
Ostateczny psalm pokuty,
I już dźwięki się rozwiody
„Alleluja“ brzmiącej nuty.

Wśród chorągwi, wśród latarni,
Wśród radosnych dzwonów szczęku,
Z Sakramentem świętym w ręku
Kapłan idzie wśród owczarni.

Dwakroć, trzykroć w krąg kościoła
Idzie naród, głowy skłania,
I silniejszym głosem woła:
„Alleluja“, zmartwychwstanie.

Władysław Syrokoma.

49. Gniazdo liszek.

1. Właściciel małego folwarku, przechodząc przez ogród, spostrzegł na młodej jabłonce gniazdo maleńkich liszek, zaledwie wylęgających się z jajek.

Wróciwszy do domu powiedział do swego syna:

— Na twojej jabłonce, Staśku, spostrzegłem gniazdo liszek weź drabinkę, obetnij gałązkę i spal. Drzewko to posadziłem w dzień twoich urodzin, powinieneś mieć o niem staranie, w tym roku obiecuję nam dużo owocu.

— Zaraz, tatusiu, tylko skończę się bawić — odpowiedział.

Lecz po skończonej zabawie było już ciemno.

— Eh! Jutro to będzie dosyć czasu na tę robotę — pomyślał

2. Nazajutrz już szedł po drabinę, gdy dzieci sąsiada przybiegły zabrać go na wielką uroczystość. Wujek ich zrobił mały aeroplan i dziś właśnie go będzie puszczał.

Pokusa była zbyt silna.

— Przecież drzewko może poczekać jeszcze dwadzieścicztery godziny — pomyślał — jutro napewno je oczyszczę.

W ten sposób minął tydzień. Staś codziennie miał jakąś przeszkodę, która opóźniała jego robotę. Nareszcie poszedł z drabiną do ogrodu, ale jakżeż się zmartwił, spojrzawszy na swoją jabłonkę!

Liszki rozlaży się po całym drzewku, zjadły wszystkie liście i cała nadzieja obfitego plonu przepadła! Nie pomógł już ani gniew ojca, ani żal serdeczny Stasia!

50. Pisklęta.

W dużym krzaku, między gęstymi gałęziami, było gniazdko uwite z drobnych ździebełek trawy. W gniazdku tym siedziało czworo małych piskląt. Brzydale to były wielkie: Miały duże głowy, na cieniutkich szyjkach; na całym ich ciele nie było ani jednego piórka, ani puszku najmniejszego, pokryte były cieniuchną, siną skóreczką. Nie umiały jeszcze piszczeć, skrzeczały tylko dziwnie i szeroko otwierały żółte dziobki.

Ale niedołężne te pisklęta miały ojca i matkę, którzy je niezmiernie kochali, pieścili i pielęgowali najtroskliwiej. Do otwartych dziobków ciągle wkładali im jakieś pożywienie: Tłuste liszki, muszki i inne owady. W nocy okrywali je skrzydłami swojemi, a gniazdo dla nich ustali pod gęstym daszkiem z liści, żeby ani słońce zanadto im nie przypiekało, ani deszcz ich nie moczył, ani zwierz drapieżny ich nie dojrzał.

Pewnego razu przysła do lasu gromadka dzieci; szukały one jagód i w krzaku spostrzegły gniazdo. Krzyknęły radośnie, każde z nich chciało zobaczyć, co jest w gniazdku. Każde zaglądało i odchyłało gałązki, żeby lepiej widzieć. Ale robiły to nieostrożnie, bo przytem wiele liści opadło i kilka gałązek się złamało. Dzieci codzień tu przychodziły, zaglądały, otrząsały liście, łamały gałązki; aż nareszcie nad gniazdkiem nie zwieszał się już żaden listek; gałęzie sterczały do góry nagie i połamane.

W południe słońce piekło biedne ptaszyny, a w nocy chłód im dokuczał.

Nadeszły słoty. Niebo pokryło się czarnymi chmurami, z których połały się strugi deszczu. Wielkie zimne krople padały na nagie ciała pisklątek i smagały je, jak biczem. Przerażone maleństwa tuliły się do siebie, skrzecząc żałośnie. Niebawem przyleciała matka i pokryła je skrzydełkami. Pisklęta usnęły, ale nie na długo. Nad matczką ich nie było żadnej zastony, wkrótce też rzęsy deszcz przemoczył jej pióra i zalewał zimnemi strugami słabe pisklęta, które daremnie szukały ratunku pod skrzydłami matki. W końcu zestąły zupełnie, opuściły łebki — deszcz je zalał, zadusił.... Kiedy nareszcie słońce zabłysło, wszystkie leżały nieżywe, skostniałe, a biedna matka, siedząc na złamanej gałęzi, żalosnym śpiewem głosiła swoją boleść.

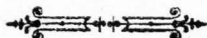
51. Piękny postępek Maryni.

Stryj sześciolatniej Maryni obiecał dziewczynce, że jej z wód przywiezie cały serwis do śniadania ze szkła czeskiego. Już od dwóch miesięcy cieczyła się Marynia i oczekiwała niecierpliwie

tych cacek. Na koniec stryj przyjeżdża, przywozi szklanny serwis i oddaje zapakowany szczęśliwej Maryni. Dziewczyna odwija go ostrożnie i za każdą dobytą miseczką, za każdym kubeczkim wydaje okrzyk podziwu; ustawia wszystko na szklanej tacy i nie posiada się z radości. W tem babunia woła na nią z drugiego pokoju, żeby jej te piękne rzeczy przyniosła. Dziewczynka bierze tackę, idzie powoli i tak wolno, że babunia wymawia jej opieszłość i wychodzi naprzeciw Maryni, chce odebrać z jej rąk serwis. Ale potknąwszy się, babunia pada na ziemię a piękna tacka i wszystkie miseczki, kubeczki, imbryczki tłuką się na drobne kawałki. Marynia ani krzyknęła, ani zapłakała, tylko zarumieniwszy się mocno, podniosła babunię, pocałowała ją w rękę i rzekła: „A, widzi Babunia, że to dobrze czasem być powolną.“ Po chwili Babunia zmartwiona wyszła z pokoju, chcąc wynaleźć dar jaki dla wynagrodzenia Maryni. Dziewczynka zbierała smutną szczątki swego skarbu, rozrzuconego po podłodze, przymierza ąc jedno do drugich, kiedy wszedł stryj. Zobaczywszy z zadziwieniem podarunek swój już potłuczony, zaczął łajać dziewczynkę za taką nieostrożność. Marynia serdecznie się rozplakała, lecz nie powiedziała ani słówka na swoje usprawiedliwienie. Dopiero za powrotem Babuni cała rzecz się wydała; a Marynia w uściśnieniach i pochwałach matki i w zadowoleniu własnego serca znalazła nagrodę szlachetnego postępowania.

52. Wielkoduszność Araba.

Arab i Pers, razem podróżując, doszli do obszernego stepu. Zmęczeni drogą, poczęli słabnąć i wielkie uczuli pragnienie. Arabowi pozostało nieco wody, i towarzysz prosił go usilnie o kilka kropel. „Naród twój, — mówił Pers, — odznacza się wspaniałomyślnością. Ty powiększysz stawę jego, poświęcając swój zapas wody dla uratowania życia nieszczęśliwego towarzysza.“ Arab pomyślał chwilę. „Wiem ja, — odrzekł, — że wspaniałomyślność taka będzie mnie kosztowała życie, ale należy utrzymać stawę narodu. Nieśmiertelna sława szacowniejsza jest, niż prędko przemijające życie. Weź i wypij tę wodę; nie chcę splamić stawy Arabów.“ Pers napił się, nabrał sił i wyszedł z obszernego stepu. Arab zaś umarł z pragnienia. Wspaniały ten postępek słynie do dziś dnia i bez wątpienia nie zapomną o nim ludzie na wieki.



53. Podróżny.

Arab jeden, gdy noc go w podróży zapadła —
 A był dwa dni wśród stepu bez wody, bez jada —
 Posłrzegli worek na drodze. Wziął rozweselony,
 A w blasku gwiazd chcąc widzieć, czem był napelniony,
 Jęknął i rzekł, niezmierną boleścią przejęty:
 „Jam zrozumiał, że to kasza, a to diamenty.“

54. Wybór kwiatów.

Pod koniec czerwca, w porze, kiedy kwiatów rozmaitych najwięcej, dzieci zaradnego i światłego ogrodnika rozbiegły się po ogrodzie ojca i przyglądały się kwiatom. Wkrótce wszczęła się między nimi rozmowa, która zamieniła się nawet w sprzeczkę o to, któremu z kwiatów pierwszeństwo dać należy. Jedno z dzieci było za wonną i świeżą różą, drugie za lilją wysmukłą; jedno sławiło z uporem gwoździk, inne było za różnobarwnymi makami; ten chłopczyk wychwalał skromną rezedę, tamten lawendę pachnącą, a każde z dzieci mówiło: „Gdy będę mieć swój ogród, ten kwiat jedynie pielęgnować będę.“ Nadszedł na to ojciec, a wysłuchawszy powodu sprzeczki, tak się odezwał: „Niepotrzebne są te wasze spory, a błędne zamysły; widzicie, że czynię inaczej. Hoduję wszystkie kwiaty, wszystkim dogadzam, radbym miał wszystkie, jakie są na ziemi; bo ogród jest obrazem świata i ludzi. Niema stanu, niema rzemiosła, niema człowieka, któryby górował nad wszystkimi, ale wszystkie stany i wszyscy ludzie mogą być użytecznymi i godni są opieki naszej.“

55. Dumka wygnańca.

Teofila Lenartowicza.

Na dolinie, na zielonej
 Widzę w dali wioskę małą,
 Domek płotem ogrodzony,
 Na zakręcie brzozę białą.

Do gościńca droga długa,
 Na niej lipy i topole;
 Poza wzgórzem srebrna struga,
 A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki także prawie.
Na pagórku, na przydrożu
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, że już w raju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje,
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje.

Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoło idzie z pracy.
Czemuż się nie cieszę z wami,
Czemuż wyście nie Polacy.

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone,
Chmurna losów moich gwiazdo,
Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie, płyńcie łzy tęsknoty,
Nieutulne łzy tułaczę;
Może, jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

56. Rosa.

Pod tą nazwą rozumiemy drobne kropelki wody, zbierające się pod wieczór i przez całą noc na roślinach pod gołym niebem rosnących. Rosa nie „pada“ nigdy, jak to dawniej myślano, lecz powstaje w następujący sposób: W dzień słońce ogrzewa powietrze, w którym rozpływa się wiele pary wodnej niewidzialnej, pochodzącej z błot, mokrej ziemi, rzek itp. Pod wieczór, gdy słońce zaszło, i w nocy, ziemia oddając swe ciepło zimnym

przestworom, sama stygnie; wszelkie więc rzeczy na niej pozostające stygną podobnie; wtedy powietrze, napełnione wyziewami ciepłemi, osiada na nich, podobnie jak to się dzieje na szybach okien, gdy ciepło jest w domu, a zimno na dworze. Rano o wschodzie słońca rosa pokazuje się nam pod postacią przezroczystych perełek, mieniających się różnobarwnymi kolorami tęczowemi, które to perełki na zielonych listkach, gałązkach i różnokolorowych kwiatach, zachwycający przedstawiają widok. Rosa dobroczynna żywi drzewa, rośliny i zboża, z których mamy chleb i owoce tak potrzebne dla naszego życia. Jest jeszcze inna rosa, powstająca z oddychania roślin. Daje się spoznać na wierzchołkach ich liści, szczególnie ostrokończastych, jakimi są n. p. liście traw.

57. Koza.

Było to w czasie wojny. Żołnierze przechodzili przez wsie i miasta; straszny huk armat słyszać było zdaleka.

We wsi mieszkała biedna matka z dwojgiem drobnych dzieci. Młodszy chłopczyk miał rok dopiero i był bardzo chorowity; całem jego pożywieniem było kozie mleko, delikatny bowiem żołądek nie mógł znieść nic innego. Starsza dziewczynka sześciolletnia kochała bardzo braciszka, bawić go umiała i do snu kołysać.

Obok izby, gdzie sypiała z dziećmi biedna matka, była mała komórka dla kozy, którą dojono trzy razy dziennie.

Pewnego razu weszło do chatki trzech żołnierzy.

„Macie tu kozę w komórcie“, przemówił jeden z żołnierzy do przełkniętej kobiety, „słyszeliśmy, jak beczała; oddajcie ją nam natychmiast“.

„Na miłość Boga“, zawołała kobieta, „na co wam ta koza“.

„Zabierzemy ją i zabijemy“, odpowiedział żołnierz, „głodni jesteśmy, już trzy dni nie jedliśmy mięsa. Zresztą, nie będziemy się wam tłumaczyć. Oddajcie kozę i basta“.

„Ach, zmiłujcie się nad nami“, zaczęła prosić kobieta błagalnym głosem, „nie bierzcie mi tej jedynej kozy; jeśli ją weźmiecie, biedne moje dziecko zamrze z głodu. Biedaczek nic nie może pić, tylko kozie mleko“.

„Co nam do tego“, rzekł ostro żołnierz, „musicie oddać kozę. Przecież to wojna“.

Wyrzekłszy te słowa, żołnierz poszedł do komórki, wziął kozę za rogi i pociągnął za sobą. Koza beczała żałośnie i broniła się jak mogła. Ale na nic to się nie zdało.

Wywlekli już żołnierze biedne zwierzę za drzwi chaty. W tem przyskoczyła dziewczynka i obydwoma rączkami uczepliła się szyji kozy.

„Ach, nasza pocziwa kózka,” wołała z płaczem, „nie bierzcie jej nam, proszę, zlitujcie się. Mój braciszek umrze, biedny chory braciszek.”

Łzy i prośby dziewczynki wzruszyły żołnierzy. Spojrzeli na-przód po sobie, a potem na dziewczynkę, która ciągle ścisnęła kożę za szyję. Wreszcie jeden z nich odezwał się: „Zostawmy kożę tym biednym ludziom. Żal mi ich, i ja mam małe dzieci w domu”.

Puścili więc kożę, która skacząc i becząc, wróciła do swej komórki.

58. Paw i kogut.

„Patrz!” — mówił paw do kwoczki — „jak poważnie i dumnie kroczy tam pan kogut. A jednak nie powie nikt: dumny, jak kogut, ale zawsze: dumny, jak paw. Prawda. To wielka niesprawiedli-wość.” — „Bynajmniej.” — odpowie kwoczka. „Duma, uzasadniona pracą i zasługą, nie zadziwia tak dalece nikogo; lecz dumę, pocho-dzącą z próżności i zarozumiałości, wszyscy palcem wytykają. Ko-gut dumnym jest ze swej czujności i śmiałego ducha; są to dwa przymioty, któremi pochwalić się można; ale cóż ciebie mój pawiu, upoważnia do dumy i nadętości. Chyba tylko piórka.... To za mało.”

59. Paw królem.



Pewnego razu zebrały się wszystkie ptaki, aby obrać nowego króla. Ten radził tego, tamten owego, a każdy miał zawsze swoją korzyść na myśli. Ale wybór nie przyszedł do skutku. Wtem wysuwa się paw w całym blasku upierzenia i rzecze: „Jeśli wam chodzi koniecznie o dobry wybór, to już mnie obierzcie królem.” Ta otwartość pawia spodobała się niezmiernie większości wyborców. „Ha,” pomyślał niejeden, „ptak-to i wielki i piękny; warto mieć króla takiego.” — „Na wybór wasz zgadzam się wpraw-dzie” odezwał się znieńacka jakiś nie-pozorny ptaszek; „ale pozwólcie zrobić sobie jedną uwagę: cóż się stanie z nami pod rządami pawia, jeśli nas orzeł napadnie? któż nas wtedy obroni?” Słowa te otworzyły oczy wyborcom. Cofnięto wybór i przystąpiono do nowego. — W ważnej sprawie nie działaj bez namysłu, gdyż pozory często mylą i niezawsze jest pożytecznem to, co piękne.

60. Wróbel i jastrząb.

Stary, przemądrzały wróbel obrał mieszkanie w głębokiej szczelinie muru. Spozrzegł to jastrząb i chciał go koniecznie złowić. Ale nie łatwo było wywabić wróbla z kryjówki. Jastrząb wracał po kilka razy, lecz zawsze daremnie. Wreszcie oburzyło wróbla to polowanie jastrzębia, postanowił dać mu się także we znaki. Za ponownem zjawieniem się nieprzyjaciela, wysunął się na skraj szczeliny i zaczął dziobać zawzięcie jastrzębia. Wróg czekał tylko na to, nadlatywał coraz bliżej; pozwalał mu nawet dziobać się raz po raz bezkarnie, aż wróbel, ośmielony powodzeniem wysunął się całkowicie z kryjówki. W teje chwili rzucił się jastrząb na niego, chwycił w szpony i zdusił.

61. Lis i bocian.

Lis zaprosił bociana na obiad, mówiąc: „Podjemy sobie smacznie“. A gdy się bocian stawił na oznaczoną godzinę, poczęstował go lis polewką, którą złośliwie nalał na płaski talerz. Bocian stukał napróżno długim dziobem po talerzu, nie mógł nabrać zupy i zaledwie jej skosztował. Tymczasem chytry lis wychlipał wszystko, śmiejąc się w duchu z bociana, który głodny wstał od obiadu. Lecz niedługą była radość lisa. Bocian zaprosił go tegoż wieczora na kolację i poczęstował gościa wyborną siekanką, lecz podał ją w butelce długiej i ciasnej szyji. Gospodarz, wsunawszy dziób do butelki, zjadał smacznie, gdy tymczasem lis oszust, obwąchał tylko naczynie i odszedł w złym humorze — głodniusieńki.

62. Łało.

Bławalki, kąkole, zbieleły od słońca,
Odzieni gdzie się tylko niebieszczą,
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.

Małeńka przepiórka już woła z pod proga:
„Pójdźcie żać, pójdźcie żać, co żywiej,
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To połem się stola sprzeciwi“.

Bóg zapłać, przepiórko, twój głosik kochany
Weśło przypada mi w ucho,
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany,
Bo w chacie wieśniaka już krucho.

Pocieszcie się dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar Boży,
Małuchną upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy.

Wychodzim na kośbę wesolą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta, jak róże.
O, chwałaż Ci, Boże, za nowe, za lalko,
Ileż, chłopcy, dziewczęta, a nuże.

Brzęk — brzęku, brzęk — brzęku, pośpiesznie
Śmiech słychać: spłoszyli zająca, [a chyłkiem,
I oło się bielą nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca.

A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe,
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

T. Lenartowicz.

63. Chrząszcze.

Chrząszcze łatwo odróżnić z pośród innych owadów, mają bowiem przednie skrzydła zamienione w twarde pokrywę, służące do ochrony tylnych skrzydełek. Te są cienkie, błoniaste, w czasie spokoju wpoprzek złożone; służą one tym owadom do latania. W ustach mają chrząszcze dwie pary ostrych żąbkowatych szczęk, zapomocą których mogą gryść korzenie, liście, drzewo i inne twarde rzeczy. Przy wylęganiu się przechodzą przemianę, a więc każdy jest najpierw jajeczkiem, potem liszką, później poczwarką i dopiero dorosłym chrząszczem.

Najbardziej znanym chrząszczem jest chrabąszcz pospolity. Co rok prawie w połowie maja, gdy drzewa pokryją się już młodem soczystymi liśćmi, nagle pojawiają się gromady tych niszczyteli, obsiadają drzewa i zjadają liście tak, że nieraz same gałęzie zostawiają. Jak chrabąszcz na powierzchni ziemi, tak liszki jego czyli pędraki zjadają w ziemi delikatne korzonki traw, zboża, warzywa i wyrządzają w ten sposób wielkie szkody. Chrabąszczowi potrzeba do zupełnego rozwoju cztery lata; tem

się tłomaczy, dlaczego w danej okolicy zwykle co cztery lata chrabąszcze zjawiają się w większej ilości.

Gdzie chrabąszcze rozmnożą się nadmiernie, stanowią prawdziwą klęskę. Co rok to w jednej, to w drugiej okolicy słychać o szkodach, jakie wyrządzają: drzewa owocowe objadają z liści ze szczerem, a dęby o lasach gryzają tak, że wyglądają jak w zimie.

Cóż dziwnego, że wobec tej szkodliwości ludzie starają się tępić chrabąszcze wszelkimi sposobami. W ogrodach strząsają je z drzew ręką rano, póki siedzą nieruchome pod spodem liści.

Największymi wrogami chrabąszczy i ich pędraków są rozmaite drobne ptaki polne i leśne, a z większych wrony, gawrony i kawki. Niedarmo te ptaki chodzą za pługiem lub broną i wydziobują coś z ziemi; szukają one pędraków i innych szkodników. To też rozumny rolnik będzie ochraniał powyższe ptaki, bo one są jego przyjaciółmi. Wielkimi tępicielami chrabąszczy są też nietoperze, jeże, a szczególnie kret. Kret na polu żywi się głównie pędrakami.

Niektóre gatunki chrząszczów żyją w wodzie. Wyciągając ryby włokiem, często napotkać można kałużnicę wielkiego, czarnego żuka z nogami nakształt wiosła. Kałużnica żywi się roślinami wodnymi. Podobny do niej, lecz ciemno-zielony, z żółtą obwódką dokoła, pływak, przyczepia się przednimi łapkami do ryb i żywcem dziury im w ciele wygryza. Wielkie pędraki tych chrząszczy są prawdziwymi rozbójnikami wodnymi, tępiącemi nie tylko inne owady, ale także mały zarybek i ikrę rybą. Pływak o zmroku i w nocy wychodzi z wody, wylatuje w powietrze i szuka innej wody.

Nieszkodliwym jest krętak, mały, stalowo-niebieski żuczek, kręcący się w zręcznych piasach na powierzchni wody.

Jeśli na polu leży zdechła mysz lub ptak, zazwyczaj zbierają się do tej padliny czarne lub czarne z pomarańczowymi na skrzydłach przepaskami owady, zwane garbarzami. Podszedłszy pod trupa, kopią łapkami głęboki dołek, spychają w niego ową padlinę, złożwszy w nią poprzednio jajka. Liszki ich bowiem żywią się padliną. Chrabąszcze te, niszcząc padlinę, przyczyniają się do oczyszczenia powietrza.

64. Pszczoła.

Do najpożyteczniejszych owadów należy pszczoła, zwierzątko małe, lecz tak skrętne, przezorne, że je uważają za wzór pracowitości. Godny uwagi jest sposób życia pszczoły.

W każdym ulu znajdują się pszczoły trojaki, a mianowicie: matka, pszczoły robocze i trutnie. Matka jest królową całej gromady, jeżeli jej niema, pszczoły nie dbają o ul, ostatecznie marnieją. Tułów matki jest daleko dłuższy od pszczoł roboczych

i jest ona smuklejsza od trutniów, skrzydła ma krótkie, do potowy ciała sięgające, nogi gładkie. Truteń różni się od pszczoł roboczych tem, że jest znacznie dłuższy i grubszy, a na głowie bardziej kosmaty, nadto nie ma żądła. Pszczoła ma ryjek, pysk i dwa „zęby“ nakształt kleszczy.

Nóżki u pszczoł roboczych szczególnie tylne są kosmate, gęsto włosami porośnięte; pszczoły niemi jak szczoteczками zbierają pył z kwiatów i znoszą do ula. Zbierają niemi także „wosk“ z żywicznych pączków różnych roślin i wylepiają nim wszystkie szczeliny w ulu. Robią potem plastry, składające się z regularnych sześciokątnych komórek. Pewna ilość komórek służy do wylęgania i pielęgnowania młodych, które ulegają przemianie.

Latem, gdy się młodych pszczoł dużo wyroji, a między niemi jest nowa matka, stara królowa z częścią gromady opuszcza stary ul i tworzy nowy rój, a młode zostają w miejscu. Tak z jednego ula wyroją się często dwa, a nawet trzy, lecz roją się coraz słabsze.

Pszczoła jak i wiele innych owadów ma żądło z dwóch włosków złożone, które koląc, jakby kropelkami w ranę zapuszcza, przyczem jednakże żądło traci i sama ginie.

Pszczoły nie żyją długo; najkrócej żyją trutnie, bo jednego lata rodzą się i giną, zabijane przez pszczoły robocze.

Najdoskonalszym zmysłem pszczoł jest powonienie czyli węch. O pół mili, a nawet dalej, wylatują na robotę, znęcone zapachem kwiatków.

65. Słonko.

Wędrowało sobie słonko
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkóło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczę.

Słonko, na to: Biedne dziecię,
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myśle świecie
I o ludzi ciężkich losach;

Lecz nie mogę ustać w drodze
By nad każdą boleć raną;
Więc w złocistym blasku cho-
Wypełniając, co kazano. [dę

Nie pomogą próżne zale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i świecić.

Zagadka.

*Jestem sobie gospodyni,
Co na przyszłość zapas czyni,
Ludzie lubią moje zbiory,
Dzieciom dają nas za wzory.*

66. Mała żniwiarka.

Lato było upalne. W mieście gorąco i duszno, ale i na wsi zdawało się ludziom jak w gorącym piecu. Słońce pali, bo też ogień Boży bardzo potrzebny, żeby wszystko dojrzało, żeby przygotować posiłek dla ludzi na długą i ciężką zimę.

Zuzia kąpała się w słońcu, jak ptaszek; w ogromnym kapeluszu cały dzień spędziła w ogrodzie. Za ogrodem pole żółte od zboża, błękitne od chabrów, a czerwone od maku. Ach, bukiety, bukiety. Tak lubiła je układać. Idzie więc bruzdą i zrywa chabry, maki, już ich nie może objąć, taki pęk ogromny, więc czerwona, opalona powraca na ganeczek dworu i układa: „To dla mamy, to dla babci, to dla p. Jadwigi, a tamten dla mnie“.

Jak miło, kiedy bukiety w pokoju, — ale duży, ogromny.

Razu pewnego wybiegła Zuzia do ogrodu, a potem jak zwykle na pole, a tu żęńcy stoją z sierpami, śpiewają, ścinają kwiaty i dojrzałe zboże, które kładzie się na ziemi, jak nieżywe.

Zuzia żał się zrobiło i kwiatów i zboża, lecz podobała się jej praca żęńców. Przecież nie była już taką malutką i wiedziała, że zboże żąć trzeba koniecznie na chleb dla ludzi. Bez chleba żyć nie można.

Więc pocieszyła się i zaczęła patrzeć, jak żniwiarze pracują. Była tam jedna dziewczyna nieduża. Zuzia przy niej stanęła i widziała, jak żniwiarka ujmowała zboże lewą ręką, prawą błysnęła sierpem, i już garść leży na ziemi. I tak szybko, coraz dalej.

Zuzia nagle pobiegła co tchu do ogrodu, do mateczki, która siedziała pod drzewem.

— Mamo, ja też żąć będę.

Uśmiechnęła się mama i spojrzała na nią.

— Nie potrafisz, córeczko, to ciężka robota.

— Ach, bardzo łatwa, mammo, widziałam to w tej chwili.

— Tak ci się zdaje, Zuziu — sierpa nie utrzymasz.

— Pozwól mammo, chociaż spróbować, zobaczysz sama; choć chwilkę, choć trochę.

— Popróbuj, Zuziu, skoro masz taką ochotę; nawet jestem rada: przekonasz się, ile to trudu chleb ludzi kosztuje.

— A sierp, mateczko.

— Marysia ma nowy i nieduży, a nie poszła dziś do żniwa, poproś, niech ci pożyczycy.

Za chwilę Zuzia z sierpem szła w pole. Tak była rada, taka dumna. Ho, ho, i ona żąć zboże potrafi.

Stała na końcu, przy dziewczynce, schyliła się, ujęła garstkę kłosów małą rączką, ale musiała aż przykucnąć, aby je ściąć sierpem.

Żniwiarze się rozśmiali, a Zuzia poczerwieniała, lecz pomyślała sobie, że to tak pierwszy raz tylko.

Ale i drugi raz ciężko. Siedząc na ziemi, byłoby daleko łatwiej, — chociaż to tylko się zdaje, bo i tak ciężko się schylać, a zboże się wyrывa zamiast ścinać, i takie jest nierówne, poszarpane.

Prawda, że to niełatwo, ale Zuzia się nauczy; zaraz będzie lepiej.

Wzięła większą garstkę, lepiej machnęła sierpem i ciach — prosto w rękę.

Krew popłynęła kropelkami na ziemię, a Zuzia zbładła bardzo, ale się nie rozplakała: wstyd jej było. Dziewczyna, co przy niej żęła, owinęła jej rękę fartuszkciem i powiedziała, że nie bardzo skaleczona. Więc Zuzia stała, sama nie wiedząc, co robić: czy iść do mamy — czy jeszcze pozostać. Żąć nie mogła, lecz stała i patrzyła teraz na schylonych żeńców. I oni zmęczeni byli, pot im spływał z czoła.

— Musisz być zmęczona — rzekła Zuzia do dziewczyny, która obok niej żęła.

Dziewczyna się rozśmiała i otarła czoło.

— O tak, jestem zmęczona, panienko, ale to nie szkodzi, choć się człowiek zmęczy przy pracy, to mu miło, kiedy wie, że z niej będzie coś dobrego. A z tego będzie chlebek. Dobrze ludziom, kiedy chleb mają. Oj, dobrze. Toć każdy kocha za to tę matulę, — ziemię, co go dała taki piękny; toć za taką łaskę nie żal i pracy dla niej, dla tej naszej karmicielki.

Zuzia słuchała zdziwiona.

— Czy ty kochasz tę ziemię, — zapytała.

— A dziewczyna aż głową pokiwała.

— A jakże jej nie kochać, panieneczko. Toć na niej żyjemy, toć od niej wszystko mamy z woli Boga: Ona od wiosny do późnej jesieni karmi nas i obdarza, a tylko pod śniegiem troszkę zaśnie dla wytchnienia, — więc jakże ją nie kochać. Oj, niewdzięczne byłyby to dzieci, coby takiej matuli nie kochały.

67. Chmury i mgła.

Woda znajduje się także w naturze w kształcie chmur, mgły, deszczu, śniegu i gradu.

Chmury są zbiorem wyziewów wodnistych pod postacią maleńkich kropelek lub pęcherzyków, zawieszonych w powietrzu

I niesionych na skrzydłach wiatru w stanie tak zgęszczonym, że wydają się czarnymi. Wzniesienie chmur nad ziemię wynosi od ćwierć mili aż do całej mili. Zdarza się osobom, które weszły na góry bardzo wysokie, że znajdują się nad chmurami; widzą je unoszące się pod sobą i opierające o pochyłości gór. Kształt chmur zależy od mniejszej lub większej ich gęstości, stosownie do siły wiatru.

Mgła tworzy się z wyziewów, wznoszących się szczególnie w miejscach wilgotnych po zachodzie słońca. Różnica między chmurą a mgłą jest ta, że chmura, złożona z wyziewów lżejszych, wznosi się i utrzymuje w powietrzu, gdy przeciwnie mgła, będąc cięższą, zostaje bliżej ziemi; często jednakże, ogrzana należycie słońcem, podnosi się i zamienia na zwyczajny obłok.

68. Deszcz.

To, co nazywamy deszczem, jest tylko wodą zgęszczoną w chmurach przez zimno, woda ta, nie mogąc się utrzymać w powietrzu, spada na ziemię małemi kroplami. Zdarza się często, że gdy chmury zbyt są nasycone wodą, zniżają się znacznie ku ziemi, a wtedy ta wielka ilość wody spada na ziemię pod postacią ulewnego deszczu, lub nawet oberwania się chmur, co bywa przyczyną wielkiego zniszczenia i niezliczonych szkód. Czasem wiele małych chmurek bardzo wysoko wzniesionych, zawierają w sobie małą tylko ilość wody, lecz chmury te gromadzą się nieznacznie i są przepowiednią bliskiego deszczu. Narzędzie, służące do poznania naprzód w przybliżeniu, czy będzie deszcz, czy pogoda, nazywa się barometrem.

Niekiedy można przewidzieć słotę przypatrując się bacznie niebu. I tak, gdy jest ono o zachodzie słońca blade i żółtawe, oznacza to, że powietrze nasycone jest wyziewami i że zagraża niepogoda. Natomiast gdy niebo jest koloru niebiesko-różowego, mało wtenczas wyziewów w powietrzu i można się spodziewać pogody. Gdy wieczorem spadnie rosa, mamy zwykle nazajutrz piękny, pogodny dzień; brak rosy wieczornej zapowiada deszcz.

69. Żniwo.

Rolnik w ziemię wrzucił zboże
A Bóg dojrzeć dał,
Z Twojej łaski, dobry Boże,
Będzie chlebek miał.

Dalej żwawo do pracy
Zwijajcie się żniwiacy
Póki pora, póki czas.
Bóg widzi nas, Bóg widzi nas.

Ledwo słońce się pokazało, a już spieszą żniwiarze w pole, kto tylko zdrów i mocny, biegnie z kosą, z sierpem i grabiami. W domach zostają tylko chorzy, starzy i dzieci.

Przed łanem zboża stoją rzędami wesole dziewczyny z sierpami, a krzepcy gospodarze i parobcy z kosami. Byszczą kosy dźwięczące, zną sierpy zakrzywione, a zboże kładzie się pokosem. Wesole rozmowy i śpiewy żniwarzy rozlegają się w powietrzu. Przodownik pochylony macha kosą, za nim pospiesza cała drużyna. Żółte żyto spoczywa na ziemi, niby bór ścięty, jedni zbierają je w garście, drudzy wiążą w pękate snopki, inni znoszą te snopki, a starzy gospodarze układają w mędele. Z bicza trzaskając, zajeżdżają wozami fornale i parobcy, kładą snopki między drabie i zwożą do stodół. Tu jedni z woza podają snopki w siasieki, drudzy odbierając, innym je podają; inni układają, a każdy się spieszy jak może.

Okolo południa na zielonej miedzy lub pod drzewem na rowie siadają zmęczeni żniwiarze, by wypocząć, posilić się i nowych sił nabrać do pracy. Podczas podwieczorku znów na chwilę wypoczywają i posilają się, a potem na nowo koszą, zną, wiążą i wożą, dopóki się słońce nie spuści za widnokrąg.

Zaszło słońce za lasy, za góry, wieczorna zorza niebo blaskiem oblała, ucichły dzwoniące kosy i sierpy, ustały grabie. Skończył się dzień długi, skończyła dzienna praca.

Wśród chłodu wieczornego wracają żniwiarze z pola do domów, pośpiewując i pobrzękując kosami. Jadą wozy ze zbożem, ciężkie woły wolno wracają z pola. Wracają pasterze ze swoim bydłem, owczarkowie z gromadami owiec, które tłocząc się, podnoszą chmury kurzawy, pastuszkowie gęsi ciągną też ze swemi stadami; za nimi postępują chłopcy i dziewczęta, strojne w wieńce z bławatków i kākoli. A wszystko biegnie spragnione do stawu lub studni. Żóraw skrzypi, woda się leje, poją się: bydło, owce i gęsi, a gospodarze radują się, patrząc na ładny dobytek.

Posileni wieczorą żniwiarze wychodzą przed dom, siadają na murawach lub na kamieniach pod staremi lipami lub wierzbami, cieszą się, patrząc, jak wesolo dzieciaki bawią się i hukają po dworze.

Spokojnie stoją drzewa z gałęziami ku ziemi spuszczone, chłodny wietrzyk szeleści listkami, zorza wieczorna gaśnie na niebie, na łąkach odzywają się bekasy i derkają derkacze, a między trzciną na jeziorach bucą baki. Miła i rozkoszna jest wieś wśród lata.



70. Letni wieczór.

Już zaszedł nad dolinę
Złocisty słońca krąg —
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Premieni gra różana
Topnieje w silnej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów
Z gasnącym blaskiem zórz
Cicha poezja światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

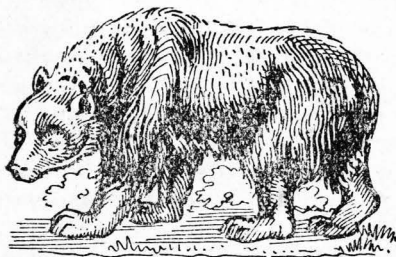
W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór,
Nocnymi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła,
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświeśla obraz ten —
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

Adam Asnyk.

71. Pustelnik i niedźwiedź.



wodę i drzewo, był stróżem chaty, słowem — najrozmaitsze czynił posługi.

W gorącym dniu letnim leżał raz pustelnik na trawie i spał. Obok niego usiadł niedźwiedź i opędzał starca z much które się zewsząd zlatywały. Szczególnie drczyła go jedna mucha, nadzwyczaj natrętna, którą niedźwiedź spędził już był kilka razy. Gdy ją teraz znowu na czole śpiącego zobaczył, pomyślał rozdrażniony: poczekaj, poczekaj, teraz cię spędzę na dobre. Podniósł więc kamień i tak celnie ugodził muchę, że ją zabił od razu, lecz przytem rozbił także głowę starcowi.

Nigdy sobie nie obieraj za przyjaciela człowieka głupiego i nieokrzesanego, bo przy najlepszej chęci często ci więcej zaszkodzić może, niż wróg najzaciętszy.

72. Przyprawy korzenne.

Rośliny dostarczają ludziom mniej lub więcej posilnych pokarmów i napojów, dają im jeszcze dodatki, przyprawy do potraw, które człowiek często nie mniej ceni od samego jadła, taką bowiem już ma naturę, że lubi jadać nie tylko rzeczy pożywne, ale i smaczne. Dlatego to ludzie spożywają tyle pokarmów roślinnych i zwierzęcych jedynie dla smaku lub zaostrenia apetytu, a nie dla posiłku; stąd to wzięły początek rozmaite potrawy słone, ostre, kwaśne, słodkie itp. Trzeba jednak przyznać, że niektóre z nich są rzeczywiście pożyteczne, a nieraz nawet konieczne. Mięso bez soli byłoby i mniej smaczne i mniej zdrowe; ogórki w naszym klimacie stanowią również nieodzowny dodatek; ocukrzona herbata posilniejszą jest od nieocukrzonej. Ale zato bez pieprzu, wanilii, cynamonu i innych tak zwanych korzeni moglibyśmy się obyć doskonale nie tylko bez szkody, ale nawet z korzyścią dla zdrowia. Że jednak one są w powszechnem użyciu, zabierzmy więc bliższą znajomość z roślinami, dostarczającymi korzennych przypraw.

Niektóre rosną i u nas: po kminek, anyż, koper, jagody jałowcu, gorczycę, cebulę, pietruszkę, selery daleko jeździć nie potrzeba. Innych, jak pieprzu, goździków, cynamonu dostanie się za kilka groszy w najmniejszym sklepiu, a jednak nie wyglądają one na nasze. O pieprzu to nawet ludzie wiedzą, że pochodzi gdzieś zdaleka, bo mamy przecież przysłowie: „Idź, gdzie pieprz rośnie!” Istotnie większość takich przypraw pochodzi z krain gorących. Ojczyzną pieprzu jest Malabar, zachodnie wybrzeże Indostanu. Jest to roślina pnąca się tak, jak n. p. dzikie wino, które u nas ocienia altany i ganki. Łodyga gruba na palec i dość długa niesie zwieszające się z pomiędzy liści grona, gęsto nasadzone czerwonymi jagodami wielkości grochu.

Jagody te dostarczają dwóch gatunków handlowego pieprzu: czarnego i białego, zależnie od pory, w jakiej się je zrywa, i sposobu, w jaki się z niemi dalej postępuje. Na czarny zrywa się niedojrzałe zielone jeszcze jagody i suszy się je od razu. Wówczas zyschają, kurczą się i przyjmują kształt znanych czarnych gałeczek pieprzu. Na biały idą tylko jagody czerwone zupełnie dojrzałe. Po zerwaniu wrzuca je się na kilka tygodni do wody, żeby okrywające je mięso rozmokło i odstąpiło od nasion. Potem suszy się je na słońcu i rozciera w rękę, przyczem wypadają zawarte wewnątrz białe nasiona, które właśnie stanowią pieprz biały.

To, co używamy do różnych marynat i kompotów pod nazwą goździków, są to niezupełnie rozwinięte pączki kwiatowe drzewa goździkowego. Drzewo to kwitnie prawie przez cały rok i ma kwiaty, podobne z kształtu jak u naszych zwykłych goździków.

Orzech czyli gałka muskatułowa są to znowu nasiona z owoców muskatułowca. Drzewo to, tak jak i goździkowe rośnie w Azji Wschodniej na wyspach Molukach albo Korzennych. Każdy owoc jego zawiera tylko jedno połyskujące nasienie barwy brunatnej, siedzące w skórce, tak jak migdał, z tą jednak różnicą, że skórka ta jest podziurawiona jak siatka. Używa się ono również do przypraw pod nazwą kwiatu muskatułowego.

Nazwę cynamonu nadaje się kawałkom kory z gałązek rozmaitych drzew cynamonowych. Obcinanie gałązek odbywa się dwa razy do roku: na wiosnę i w jesieni wtedy, gdy gałęzie najbogatsze są w soki i gdy pod korą tworzy się miazga, dzięki której daje się ona łatwiej oddzielić. Przypomina to u nas kręcenie fujarek na wiosnę. Cynamon rośnie w Azji na wyspie Cejlon. Amerykański cynamon jest tańszy, ale gorszy. Z Ameryki otrzymujemy także wanilię i pieprz czerwony.

73. Odpoczynek.

Cnotliwy ojciec udał się z synem na pole. Było to, pora wieczorna, czas żniwa, dzień sobotni. Robotnicy, choć już znużeni być mogli tygodniową pracą, przecież jeszcze dożynali skwapliwie reszty stojących kłosów, ale krople potu spadały im z czoła. Wtem na wieży kościoła wiejskiego odezwał się dzwon poważny, wiałował on zachód słońca i zbliżający się dzień świąteczny Pana, dzień odpoczynku. Żniwiarze wydali okrzyk radosny, zaprzestali pracy, a każdy, wzięwszy sierp, szedł wesoło po zapłatę. Niektórzy śpiewali, inni biegli ochoczo, jakby już zapomnieli o znoju i trudu.

„Widzisz synu“, rzekł ojciec, wskazując na nich, „jak słodkie są owoce pracy. Zapominamy wkrótce o jej trudzie, a zostaje wewnętrzne zadowolenie jako słuszną nagrodą. Pracuj i ty, mój synu, pracuj użytecznie, a miłym ci będzie odpoczynek niedzielny, miłym także i ten dzień wielki, kiedy anioł śmierci wezwie ciało twoje na długi odpoczynek, a duszę po zasłużoną zapłatę“.

74. Róża.

Pod wpływem ciepłych promieni czerwcowego słońca rozchyliła listki pierwsza róża w ogródku młodej i pięknej Ludwini. Wesoło skoczyła dziewczynka, żeby się kwiatkowi zbliżka przypatrzeć, wtem ujrzała na ścianie za krzakiem te słowa: „Tak kwitnie młodość, tak jaśnieje niewinność, tak się radość uśmiecha“. Łza radości zrosiła kwiat świeży, a szczęśliwa Ludwinia, odbiegła, skacząc. W kilka dni potem przyszła na toż samo miejsce,

ale kwiat zmienił już nadobną postać, a na murze widniały te słowa: „Ręczy mija młodość, łatwo ginie niewinność, krótko kwitnie radość“. Łza smutku spadła na kwiat więdnący i Ludwinia zamyślona odeszła powoli. Nazajutrz z wieczora poszła raz jeszcze odwiedzić kwiatek. Ale jakaż zmiana! Już róża bezlistna a nad nią napis: „Korzystaj z młodości, niewinności strzeż, radości szukaj“. Czysta łza zbawiennego postanowienia spadła na rozsypane po ziemi i zmienione listki róży, a wzruszona Ludwinia rzuciła się w objęcia stojącego obok niej ojca.

75. Dar mały lecz ze serca.

Pani Pawłowska była słaba, wychodzić z domu nie mogła; zawołała więc raniuteńko do siebie pięcioletniego synka i tak mu powiedziała: „Zygmusiu! weź ten koszyk jabłek, pójdz i ofiaruj go Babulce, bo dziś jej imieniny; ładnie jej powinszuj, a to jabłko zjedz sam na śniadanie“. To mówiąc, dała mu słodkie, czerwone jabłko. Zygmus pocałował matkę w rękę, wziął koszyk, włożył jabłko do kieszeni i poszedł do babuni. „Babulko!“ zawołał wchodząc, „winszuję Babulce imienin!“ A podając koszyk owoców, rzekł: „To od mamy“, wyjął potem z nieśmiałością swoje jabłko z kieszeni i dodał: „A to — od Zygmutka“.

76. Syn.

Stefana Witwickiego.

Jedzie, jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiej wojny;
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili
I sąsiedzi się cieszyli.

„Gdzieżeś, matko, wracam z boju!
Matko miła, wyjdź z pokoju,
Niech uściskam twoje nogi,
Wyjdź przywitać syna z drogi!“

„Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie.
Pokój w ziemi ma zrobiony;
I kamieniem przyłożony.“

„Jam ten pokój dla niej sprawił
Długom się na wojnie bawił!
Życie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie.“

Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał tak odjechał.
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny.

77. Ostatnia wola.

Niedaleko Lwowa mieszkał niegdyś bogobojny staruszek, który trzech synów jaknajlepiej wychował. Gdy dorośli, ojciec już był bliskim śmierci, kazał im przyjść do siebie i rzekł: „Wiem, żeście mi zawsze byli posłuszni, i że tembardziej ostatnią wolę moją będziecie szanowali. Oto są trzy puszkі. Daję wam po jednej. Ty, Józefie, który masz być żołnierzem, otworzysz swoją, gdy zostaniesz kapitanem. Ty, Pawle, który się uczysz prawa, to samo uczynisz, gdy zostaniesz sędzią. Ty zaś, Mikołaju, który chcesz być kupcem, otworzysz także puszkę swoją, ale dopiero wtenczas, gdy się w handlu dorobisz tysiąca złotych. Starajcie się, drogie dzieci, wszelkimi uczciwemi sposobami dojść do chleba“. Mówiąc to, ojciec skonał.

Po śmierci ojca jął się każdy z synów pracy w swoim zawodzie. Pracując wytrwale, przyszli z czasem do tego, że najstarszy otrzymał stopień kapitana, młodszy urząd sędziego, a trzeci zarobił tysiąc złotych.

Zeszli się więc, a gdy pierwszy, Józef, otworzył puszkę, znalazł kartkę z napisem: „Tak kończ, jakeś zaczął, a możesz zostać nawet generałem!“

Drugi, Paweł, znalazł na swojej kartce słowa: „Tak kończ, a możesz zostać ministrem!“

Trzeci syn, Mikołaj, wyczytał te słowa: „Tak kończ, jakeś zaczął, a możesz posiadać miliony!“

78. Kruszcze.

Wielkie skarby w postaci soli, nafty i węgla spoczywają w ziemiach polskich. Ale wymienione kopalnie nie wystarczają. Kraj, pragnący mieć swój przemysł, zaspakajający najważniejsze potrzeby ludności, musi posiadać jeszcze kruszcze. Między niemi żelazo jest najważniejsze, ale i żelaza w Polsce nie brakuje. Nie mamy tu wprawdzie kopalni, dających rudę bogatą, tak jak n. p. kopalnie rosyjskie, ale bądź co bądź nie jesteśmy skazani na brak żelaza. Rudy żelazne znajdują się w Polsce w wielu okolicach, mianowicie koło Starachowic, Skarżyska, Nieklania w ziemi Radomskiej, dalej ku zachodowi w Częstochowskim i Wieluńskim. Wprawdzie rudy tamtejsze zawierają najwyżej jedną trzecią część żelaza metalicznego, niemniej opłaca się je wydobywać i przetapiać. Jeżeli zrobić obliczenie, ile rudy żelaznej posiada Polska dzisiaj, to wypadnie 600 milionów tonn albo 12 miliardów centnarów. Ale to jeszcze nie wszystko. Na łakach naszych poniewiera się bogata w żelazo a łatwa do obróbki ruda żelazna, zwana darniową, którą z korzyścią można zbierać i odstawiać do huty. Przemysł żelazny nie stał u nas wysoko, gdyż naszym kopalniom robiły współzawodnictwo bogate kopalnie rosyjskie, gdzie dobywają bardzo dobrą rudę. Pomieszana z uboższą polską, służyła ona jako materiał dla naszych pieców. W dodatku przed wojną rząd rosyjski wydał zakaz wywozu rudy żelaznej za granicę. Z czasem jednak przemysł żelazny musi się u nas w Polsce rozwinąć i będzie zaspakajał potrzeby naszego kraju.

Nie samo jednak żelazo ma Polska. Spoczywają u nas w łonie ziemi i inne rudy. Rudę cynkową, zwaną galmanem, kopią w okolicach Olkusza w ziemi Kieleckiej, koło Będzina i Siewierza w ziemi Piotrkowskiej. Znajduje się ona także w okolicach Krakowa. Nie potrzebuję wam chyba przypominać licznych zastosowań cynku, z którego robią blachy na pokrycie dachów, bardzo dobrą białą farbę i wiele innych rzeczy. Stopiony z miedzą daje on nieoceniony mosiądz, z którego wyrabiają niezliczone przedmioty.

Jest i trochę miedzi w Miedzianej Górze pod Kielcami. Dawniej z tej krajowej miedzi bito w Polsce monetę zdawkową: grosze i trojaki. Nie koniec jednak na tem. Polska może się pochwalić, że ma w swem wnętrzu jeszcze jeden kruszec bardzo użyteczny — ołów. Dobywają go u nas z gatunku rudy, zwanej galeną, którą kopią w okolicach Olkusza. Należy dodać, że rudy ołowiane zawierają pewną domieszkę srebra. W Krakowskim także istnieją pokłady ołowiu. Na brak kruszców nie potrzebujemy tedy narzekać. Żeby tylko wziąć się do pracy, to łatwo dobędziemy ich dostatecznie na własne potrzeby.

79. Miłość bliźniego.

Piękny wzór prawdziwej miłości bliźniego daje nam św. Wincenty à Paulo.

Razu pewnego spotkał on znajomą staruszkę; blada jej twarz i wielkie cierpienie, malujące się w oczach, zwróciły uwagę świętego. „Cóż wam to, matko Le Brun?“ zapytał z litością, „czy spotkało was jakie nieszczęście?“ Staruszka ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła ciężkim, długim płaczem. Bo też dotknął ją cios okropny. Jedyny syn jej, którego św. Wincenty znał dobrze, człowiek młody, pracowity i uczciwy, lecz gwałtowny i nie umiejący panować nad sobą, zabił w gniewie swego przeciwnika i skazany został na dziesięć lat ciężkich robót na galerach.

Św. Wincenty usiłował pocieszyć biedną matkę, mówił, że dziesięć lat niedługo upłynie, że za winę odpokutować trzeba zawsze, lecz w głębi duszy żal mu było nieszczęśliwego młodzieńca. Wiedział, że wyrzuty sumienia będą dla niego ciężką karą, wiedział, że nieszczęsny rozmyślnie nigdy nie popełniłby zabójstwa i że myśl o rodzinie, którą zostawił bez chleba, cięższą jeszcze dla niego musi być pokutą. A tymczasem staruszka płakała rzewnie i wskazywała na stojący w pobliskiej przystani statek, na którym syn jej okuty w kajdany pracował wśród zbrodniarzy.

Św. Wincenty przyrzekł stroskanej matce wstawić się za nieszczęśliwym synem i prosić władzę o złagodzenie kary, a pożegnawszy staruszkę, udał się niezwłocznie do komendanta galer. Pobożnego kapłana znano w całym mieście i szanowano ogólnie, gdyż słynął z miłosierdzia i dobrych uczynków. Nie dziwiło to komendanta, że prosił o pozwolenie odwiedzenia Jakóba Le Brun.

„Wprawdzie do galernika nikt nie ma dostępu“, rzekł urzędnik, „panu jednakże nie mogę odmówić pozwolenia“.

Gdy św. Wincenty zobaczył pracującego w ciężkich okowach Jakóba, zbliżył się do niego i pozdrowił go życzliwie: „Jak się masz, przyjacielu Jakóbku?“ „Przyjacielu?“ odrzekł galernik z goryczą, „czyż mam jeszcze przyjaciół?“ „Widzisz mnie przecie“, rzekł św. Wincenty, „przyszedłem cię uwolnić“. „Uwolnić! Jakim sposobem?“ „Bardzo łatwym; weź moje suknie i odejdź, zostanę na twojem miejscu. Nikt nie zwróci na to uwagi, bo dozorcóm chodzi o liczbę więźniów, a nie o ich osobę“.

Nieszczęśliwy Jakób uszom wierzyć nie chciał, patrzył na księdza, pot wystąpił mu na czoło, ze wruszenia nie mógł wydobyć głosu.

„Nie, nie“, szepnął nareszcie, opierając się pokusie, „byłoby to zbrodnią. Chociaż być tu więźniem, to gorzej niż utracić życie“.

„Zastanów się“, rzekł kapłan, „masz pięcioro dzieci, które zginą z głodu i nędzy. Jam samotny na świecie, służę Bogu — tu, czy tam — wszystko mi jedno. Może mię Bóg tu posłał, abym wśród tych nieszczęśliwych głosił Jego naukę. Idź w pokój i służ w miłości braciom swoim“. „Nie mogę, nie mogę“, powtórzył jeszcze Jakób.

Ale św. Wincenty, korzystając z zapadającego zmroku, szybko zarzucił galernikowi swój habit, a sam wziął topór do ręki i pochylił się nad pracą. Jakób sam nie wiedział prawie, jakim sposobem znalazł się znów na wolności.

W kilka tygodni potem zaczęto mówić w mieście o zniknięciu znanego wszystkim pobożnego księdza. Poszukiwano go wszędzie, badano ludzi, którzyby coś o nim wiedzieć mogli.

Nagle komendant galer przypomniał sobie odwiedzinę św. Wincentego i natychmiast domyślił się prawdy. Znalaziono św. Wincentego rzeczywiście na statku, pracującego gorliwie pod palącymi promieniami słońca. Święty został naturalnie uwolniony, ale do końca życia miał na ręku ślady kajdan.

80. Uszlachetnianie drzew owocowych.

Kubuś bywał często w ogrodzie dworskim, gdzie ogrodnikiem był stary Jakób, jego chrzestny ojciec. Zajęcia w ogrodzie podobały się bardzo Kubusiowi, więc nieraz Jakóbowi pomagał przy pracy.

Pewnego razu z początkiem wiosny szczepił stary Jakób dziczki w szkółce drzewek. Kubuś z wielkiem zajęciem przypatrywał się tej robocie. „Jakże się też przyjmie ta gałązka?“ dziwował się, gdy stary ogrodnik przykładał do dziczka zraz, ukośnie przycięty i obwiązywał go łyckiem.

„Przyjmie się, moje dziecko“, rzecze Jakób, „ale trzeba na to uważać, aby kora dziczka zesła się dokładnie z korą zraza czyli gałązki szlachetnej. Pod korą bowiem znajduje się miazga, t. j. warstwa, w której teraz krążą soki drzewa. Te soki dostarczają żywności pączkom i liściom i budują nową warstwę kory i drewna. Jeśli więc miazga przylgnie do miazgi, to gałązka szlachetna otrzymuje pożywienie od dziczka i może się rozwijać. Dlatego też, jak widzisz, uważam zawsze na to, aby dziczek i zraz w miejscu zetknięcia były jednakiej grubości i aby miały równe, ukośne nacięcia“.

„O!“ zawołał Kubuś po chwili namysłu, „teraz już wiem, dlaczego po obwiązaniu smaruje się maścią przycięty koniec zraza i te miejsca, gdzie się z dziczkiem styka. Robi się to pewnie na to, aby miazga nie wysychała“.

„Tak!“ rzecze ogrodnik, „widzę, że to pojmujesz“.

„Ale nie wiem jeszcze“, dodał Kubuś, „dlaczego na każdym zrazie zostawiacie tylko po trzy oczka“.

„Gałązka, dopóki się z dziczkiem nie zrośnie, musi żyć własnymi sokami, łatwiej wyżywi 2 lub 3 oczka, niż więcej“.

„Rozumiem, chrzestny ojcze“, rzecze Kubuś, „zdaje mi się, że już bym sam umiał zaszczepić drzewko“.

„Nie dowierzaj sobie tak bardzo, lecz ćwicz najpierw rękę na suchych patyczkach, abyś nie popsuł dziczków i zrazów“.

Ten sposób szczepienia nazywa się łączeniem. Innym razem pokazał ogrodnik Kubusiowi inne sposoby szczepienia, a przede wszystkim oczkowanie.

81. Bociany.

Jako zwiastuny wiosny, z pierwszym cieplejszym wiatrem wracają do nas bociany. Dzieci wybiegają oglądać miłego gościa, wołając nań Wos-u, po dawnym jego imieniu. Nawet starzy wychodzą w pole, uradowani jego przybyciem, które wróży lepszą porę. Ukochany to ptak nasz, krzywdy wyrządzać mu nie wolno.

Lecz pierwszy pobyt bociana nie jest trwały; przyleciał on tylko na zwiady. Odszukawszy bowiem dawne gniazdo i przypatrzwszy się okolicy, znika, aby się po kilku dniach pokazać ze samica i teraz dopiero osiedlić się na całe lato. Stanąwszy na gnieździe, witają je bociany ukłonami i klekotaniem. Oglądają potem, gdzie potrzebuje naprawy, gdzie poszarpane wichrami zimowemi. Niezwłocznie biorą się do roboty, znosząc gałązki, słomę i siano, a gdy gniazdo już w porządku, cieszą się ze skończonej roboty.

Nagle pokazuje się zdala bocian drugi, któremu się okolica i gniazdo również podobają. Spostrzegłszy go samiec, gniewem się zapala i gotów do walki, staje na gnieździe z podniesioną głową. Przeciwnik zaś natarczywie przylatując, patrzy na gniazdo, jak na zdobycz swoją. Wtenczas bocian czai się, wyciąga długi dziób i roztacza skrzydła do ataku. Już wpadli na siebie, ranią się dziobami w piersi i szyję, tłuką się skrzydłami, a klekot rozlega się w powietrzu. Walka się wzmacza. Napastnik otrzymuje ciężką ranę i uchodzi, ścigany przez zwycięzcę. Opodal od gniazda ustaje bitwa. Teraz zraniony śmiałek zbiera wszystkie siły i lot swój ku gniazdku odważnie kieruje. Samica, stojąc na gnieździe i widząc walkę nierozstrzygniętą, klekocze ze strachu o samca i pragnie pobudzić jego odwagę. Teraz samiec z wściekłością naciera na przeciwnika, bije go skrzydłami, kłuje dziobem i, coraz nowe zadając mu rany, osłabionego i pobitego zrzuca z gniazda na ziemię. Tak się kończy walka, z której pierwotny posiedziciel gniazda wychodzi zwycięsko.

Bocian jest ptakiem schludnym, kąpie się bardzo często, a dziób jego zastępuje mu grzebień i szczotkę. Wobec ludzi jest śmiały. Swobodnie chodzi sobie po podwórzu, lub po ogrodzie rolnika, a w miastach nadmorskich przechadza się po ulicach wśród ludzi, nie ustępując im z drogi.

W najgorętsze miesiące naszego lata przynoszą się bociany do lasów w pobliżu świeżych łąk, bagien i źródeł, a gdy im tutaj także żywności zacznie niedostawać, wybierają się w drogę ku południowi. Odlatują niespodzianie w największym porządku. Często widać stada, liczące do trzech tysięcy bocianów. Po większej części udają się do Egiptu, gdzie w dolinie rzeki Nil znajdują dostatek żab i węzów. Dopiero wtenczas, gdy im porzynające się lato w tym gorącym kraju dopiekać zacznie, wracają do nas, witane wesołemi okrzykami.

82. Stary żołnierz.

Stanisław, stary żołnierz, stracił był nogę na wojnie i wracał o kuli do rodzinnej wioski, aby osiąść przy jednym z trzech braci. W ciągu długiej służby wojskowej zaoszczędził on był sobie trochę pieniędzy i miał zamiar rozdzielić je między braci; ale w drodze namyślił się inaczej. Chcąc się przekonać, czy mu chętnie dadzą u siebie przytułek, przywdział podartą odzież i zjawił się w niej najprzód u najstarszego i najzamożniejszego brata.

— Mój bracie! — rzekł Stanisław — na stare lata przywlokłem się do rodzinnej wioski i pragnę tu pozostać aż do śmierci. Jestem kaleką i ciężko pracować nie mogę, lecz mam nadzieję, że nie odmówisz mi przytułku u siebie.

Bogacz zaczął się wynawiać, że ma liczną rodzinę, że u niego ciasno w chacie, że ciężkie czasy, a wreszcie całkiem otwarcie powiedział bratu, że go przyjmą nie może.

Żołnierz nie rzekł ani słowa więcej, tylko poszedł do młodszego brata, który był również zamożnym gospodarzem. Wszedłszy do chaty, powtórzył prośbę o przytułek. Młodszy brat nie wiedział, co odpowiedzieć; nareszcie po długim namyśle, tak się odezwał: — Radbym cię, bracie, zatrzymał u siebie, ale nie mogę, bo gospodarstwo to jest własnością mojej żony.

Żołnierz nie rzekł znów ani słowa i poszedł do najmłodszego brata, który miał małą chatkę i niewielki ogród, a dzieci pięcioro. Poznaawszy brata, uściskał go serdecznie, ugościł jak najlepiej i nie mógł się z nim dość nacieszyć. Po chwili powtórzył Stanisław swoją prośbę. Franciszek, bo tak było na imię najmłodszemu bratu, rzekł wesoło: — Dobrze, mój bracie! Zo-

stań u nas. Gdzie się dla siedmiorga gotuje, tam się i ósmy może pożywić.

— Zastanów się, Franciszku! — rzecze żołnierz. — Jestem kaleką, nie będziesz więc miał ze mnie wielkiej pomocy.

— Nie bój się, Stanisławie — przerwał mu pocziwy Franciszek. — Ja i moja żona mamy, dzięki Bogu, zdrowe ręce i potrafimy się uwinąć sami z robotą. Tobie czas spocząć. Będziesz doglądał domu, a wieczorem opowiesz nam nieraz, coś widział w świecie.

Żołnierz nie mógł dłużej ukryć wzruszenia; rzucił się bratu na szyję i rzekł ze łzami: — Bóg ci zapłać, dobry bracie! Masz: litościwe serce. U ciebie będzie mi najlepiej. Nie jestem ja tak biednym, jakim się wydaję. Uskładałem sobie w wojsku kilkaset złotych i te ci oddaję, abyś dokupił sobie gruntu.

To mówiąc, wyjął woreczek i wysypał na stół złote i srebrne pieniądze.

Gdy się dwaj starsi bracia dowiedzieli, że Stanisław przyniósł tyle pieniędzy, uczuli najprzód zazdrość, a potem wstyd. Przybyli w końcu do starego żołnierza i tłómaczyli się przed nim, przepraszając go i zapewniając o swem przywiązaniu. Stanisław przebaczył im niegościnnosć i twardosć serca, ale już do śmierci pozostał u Franciszka.

83. To nam, skrzypku, graj!

To nam, skrzypku, graj:

Niema jak nasz kraj!

Nie wiemy, jak komu,

Nam najlepiej w domu.

Mila swoja chałka,

Jak rodzona matka.

Cudze kraje znajmy,

Ale swój kochajmy.

Niema jak nasz kraj!

Tak nam, skrzypku, graj.

84. Lenistwo.

Grzegorz, pracowity wieśniak, kazał synowi Szymkowi wykarczować i skopać kawał roli pod lasem. Pracę tę miał Szymek skończyć w przeciągu jednego tygodnia. Szymkowi jednak zda-

wał się ten grunt za wielki a czas za krótki. Zaledwie ojciec się oddalił, synalek zaczął się smucić i wyrzekać, mówiąc: „Jakoż byabym miał skopać ten cały kawał gruntu przez jeden tydzień? To niepodobna! Cztery nawet tygodnie nie wystarczyłyby na taką pracę.“ Po tych słowach Szymek, obawiając się, że nie podoła pracy, z niechęcią odrzucił na bok rydel, położył się na murawie i pomyślał sobie: „Jutro zacznę pracować!“ Szymek nigdy z apewne nie słyszał tych wierszyków:

Leniuchowie i próżniacy
Mają zawsze wstręt do pracy,
A choć codzień chleb jadają,
Pracę nadal odkładają.

Tak zeszyły Szymkowi dwa dni jeden po drugim; trzeciego dnia przybył ojciec. Jakże się zadziwił, nie widząc najmniejszego śladu pracy! Szymek zaczął się uskarżać przed ojcem, iż nie może sam podołać tak wielkiej pracy. Ale ojciec odrzekł mu na to:

Gdzie chęć dobra i ochota,
Tam nie trudna jesi robota.

Po chwili rozdzielił ojciec cały kawał roli na ośm małych części i rzekł do syna: „A taki kawałek ziemi, czy potrafisz skopać przez pół dnia?“ „Dlaczego nie? to przecie nie tak wiele!“ odrzekł Szymek i zaraz wziął się do pracy. Jakoż jeszcze przed wieczorem czwartego dnia skończył Szymek wszystkie ośm części wyznaczonego gruntu i wesół powrócił do domu.

Nie trzeba nigdy zrazić się ogromem pracy; przy ochocie i wytrwałości wszystkiemu podołać można. A jakże miło doczekać się owocu własnej pracy!

Przy ochocie wszelka praca
Najprzyjemniej czas nam skraca;
Praca zdrowia nam udziela,
Praca serca rozwesela.

T. Nowosielski.

85. Duża grusza.

Stary Bartosz siedział sobie raz popołudniu przed domem w cieniu rozłożystej gruszy, z której jego wnuki, tuż przy nim siedzące i biegające, pożywały smaczne gruszki, wychwalając je bardzo. „Muszę Wam też, kochane dzieci, powiedzieć“, rzekł dziadek, „żkąd się tu wzięło to drzewo, którego owoc tak wam smakuje.“

Więcej niż lat pięćdziesiąt temu stałem tu, gdzie teraz to drzewo stoi, na pustem miejscu, narzekając przed mającym sąsiadem na ubóstwo. „Ach! rzekłem, jakże byłbym szczęśliwy,

gdybym choć ze 100 talarów mógł sobie uciąć.“ A sąsiad odpowiedział: „Mógłbyś je sobie nawet w krótkim czasie zebrać, gdybyś tylko mądrze sobie poczynił. Patrz! oto na tem samem miejscu, gdzie stoisz, znajduje się więcej niż sto talarów w ziemi. Staraj się je wydobyć.“

Będąc młodym i bez doświadczenia, zacząłem zaraz następnej nocy kopać na tem miejscu i wykopałem dół głęboki i szeroki, spodziewając się, iż znajdę 100 talarów, o których mówił sąsiad. Ale na próżno kopałem i przewracałem ziemię; nie znalazłem złamanego szeląga. Wstydziłem się daremnej pracy zasmucony już zabierałem się do zarzucenia dołu, żeby go sąsiad nie spostrzegł, gdy tenże właśnie nadszedł. Zobaczywszy dół, zaczął się śmiać ze mnie i rzekł: „O, naiwny młodzieńcze! nie w takiej to myśli mówiłem; ale nie zarzucajże już dołu, skoro go wykopałeś. Daruję ci młode drzewko owocowe; wsadź je w dół wykopany, a po kilku latach i talary się pokażą, byleś tylko nie zapomniał o drzewku.“

Jak radził sąsiad, tak uczyniłem; posadziłem ofiarowane mi drzewko. Rosło sporo i wyrosło oto na potężną gruszę, którą teraz widzicie. Wyborny owoc, który co rok rodziło, przyniósł mi już więcej, niż sto talarów, a drzewo jest jeszcze kapitałem, przynoszącym obfity procent. Pamiętam jeszcze ulubione przysłowie sąsiada, i wy go nie zapominajcie:

„Najpewniejszy skarb posiada, kto rozumnie ręką włada.“

86. Wieśniak.

Biedny wieśniak, rozliczne wyrwawszy przypadki,
Rzekł: „Jabym tylko pragnął lichej jakiej chałki“.

Spółkały go te dary.

Nasz wieśniak już szczęśliwy. Kłóż bardziej być może?

Wkrótce kradną mu owoce, „Wola Twoja, Boże!

Mam jeszcze“, mówił, „chalkę, kobyłę i krowę“.

Ale nieszczęście spolyka go nowe:

Ginie krowka i pada klaczka wynędzniała!

Lepianka tylko została.

Ten, co próżno za szczęściem od tak dawna gonił,

Łzy nie uronił.

Raz z rana niespodzianie wchodzi podslarości,

I w imieniu dziedzica żąda zaległości;

Odwieczne wspomina długi;

Nawet każe mu płacić, co był winien drugi,

Jakieś tam czynsze, daniny, podalki;

A że nie miał pieniędzy, wypędzon był z chłalki.

Plączą dobrzy sąsiedzi nad losem sąsiada.

„Niel“ rzecze, „len nie zginął, kło zdrowie posiada;

Bądźcie o mnie spokojni; mam jeszcze dość siły;

Oł, pożyczcie mi tylko siekiery i piły“.

Poszedł więc na zarobek do pobliskiej wioski,

Pracował i oszczędzał przy pomocy Boskiej;

Nieza długo założył gospodarstwo nowe,

Znowu ma: owcę, konia, chałupkę i krowę.

Jachowicz.

87. Mądry i głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał;

Kontent więc, że uczony nie nie odpowiadał,

Tembardziej jeszcze krzyczeć przeraźliwie począł.

Nakoniec zmordowany, gdy sobie odpoczął,

Rzekł mądry, że nie był w odpowiedzi dłużny:

„Wiesz, dlaczego dzwon głośny? Bo wewnątrz jest próżny“

Ignacy Krasicki.

88. Wdzięczny lew.

Pewien okrutny Rzymianin obchodził się tak nielitościwie ze swoim niewolnikiem, że biedak uciekł od niego na puszcze i schronił się do jaskini. Lecz zaledwie w niej chwilę wypoczął, spostrzegł ogromnego lwa, zbliżającego się z rykiem prosto ku niemu. Na ten widok krew w nim zastygła; ale jakież było zdziwienie jego, gdy lew, zbliżywszy się do jaskini, wyciągnął ku niemu swą łapę skrwawioną. Domyślił się Androkles, tak było na imię niewolnikowi, że zwierzęciu coś w nodze ugrzęzło; przybliżył się więc śmiało i wyciągnął z łapy lwa długi kołec cierniowy, a następnie krew dobrze wycisnął i ranę wodą obmył. Lew uradowany lizał ręce Androklesowi, dziękując mu niejako za przysługę.

Odtąd Androkles mieszkał w tej jaskini przez lat kilka, a zwierzę znosił mu zawsze mięso i tym sposobem żywił go.

Nareszcie sprzyszyło się Andreklesowi życie samotne i razu jednego, gdy lew poszedł na łowy, opuścił jaskinię i wrócił między ludzi. Lecz wkrótce schwytano go i odesłano panu, a ten oddał go władzy, która go na śmierć skazała.

W starożytnym Rzymie często rzucano schwytanych niewolników dzikim zwierzętom w cyrku na pożarcie. Na obszernej arenie, opasanej murem, wpuszczano drapieżne zwierzęta, jak lwy, tygrysy, lamparty, które rozdzierały nielitościwie każdego, kogo im rzucono, a tłumy ludu rzymskiego, stojąc naokoło areny na wzniesieniu, przypatrywały się tym krwawym widowiskom. Taką śmiercią zginęło też wielu chrześcijan.

I Androkles miał tak okrutną śmiercią zakończyć życie. Już wprowadzono go z innymi niewolnikami na miejsce widowiska, już dzikie zwierzęta rzuciły się na jego towarzyszków, Androkles stał jeszcze pewien niechybnej śmierci, bo oto lew potężny zbliżał się do niego. Ale cóż to? Lew nie czyni mu nic złego, owszem łasi się, kładzie się przed nim i liże nogi jego. Androkles zdziwiony poznaje swego dawnego przyjaciela, któremu był niegdyś kolec z nogi wyciągnął.

Zdarzeniu temu obecnym był cesarz rzymski, który, zdziwiony niezwykłym widowiskiem, kazał przywołać przed siebie Androklesa, a dowiedziawszy się o wszystkim, darował mu życie a zarazem i lwa. Szlachetne zwierzę, jak się łatwo domyślić można, nie znalazłszy swego dobroczyńcy w jaskini, tak długo Androklesa szukało, aż zostało schwytane.

Odtąd lew nie odstępował Androklesa i jak pies chodził za nim po ulicach Rzymu.

89. Sierota.

Na mogile, jeszcze świeżej, smutne dziecię klęczy,
A w mogile dziecię leży! O, jak dziecię jęczy!

Nie mam ojca, Boże miły, nie mam już matuli.

A do pracy niemam siły, i któż mnie przytuli!
Spójrzij na me łzy w pokorze, na mnie tu bez chleba!
Ukróć zale me, o Boże, weź mnie też do nieba!

Tu sierota z sercem tkliwem zrobiła znak krzyża,

A w tem do niej z włosem siwym staruszek się zbliża.
„Nie płacz, nie płacz, moje dziecię, nie płacz moje złoto,
Bóg nad tobą czuwa skrycie, nie będziesz sierotą.

Nie masz duszko, matki, ojca, czuję boleść twoją,

Pójdź dziecino, do mej chatki, będziesz dzieckiem mo-
I któż radość w sercu tkliwem wypowiedzieć zdoła, [jem“.
Dobre dziecko w starcu siwym ma Stróża Anioła.

90. Koźlę i wilk.

Pewnego razu koza zamknęła koźlę w obórcie i poszła w pole na paszę. Wilk, widząc to zdaleka, zbliżył się do drzwi obory, a zmieniawszy głos rzekł słodko: „Otwórz matce; kochanko, zapomniałam się z tobą pożegnać.“ Lecz koźlę odpowiedziało: „Nie otworzę, bo choć pan przemawia słodkim głosem, widzę jednak przez szparę, że ostrzysz sobie zęby na moją skórę“.

91. Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzysłając ze swobody,
Paśł się łąką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go łam zwierzęta lubiły;
I on leż, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz gdy wyszedł w światło i bujał po łące,
Słyszysz przerażające
Głosy łąb, psów szczekanie, łrzask wielki po lesie.
Stań, słucha — dziwuje się;
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się poza siebie: aż dwa psy i strzelec!
Strwożon wielce.
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spółkał konia, prosi go iżby się użalił:
— Weź mnie na grzbiel i unieś. — Koń na to: — Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę.—
Jakoż wół się nadarzył: — Raluj, przyjacielu! —
Wół na to: — Takich, jak ja, zapewne niewielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w ławie,
Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię,
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże.—
Kozioł: — Żał mi cię, nieboże,—
Ale ci grzbielu nie dam, łwardy, nie dogodzi,
Oło wełniasta owca niedalego chodzi,

Będzie ci miękko siedzieć. — Owca rzecze:

Ja nie przeczę,

Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,

Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;

Udaj się do cielęcia, które się tu pasie. —

Jak ja ciebie mam wziąć na się,

Kiedy slarsi niewzieli? — cielę na to rzekło

I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby rałunku upadły,

Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Ignacy Krasicki.

92. Szanujcie oczy!

1. Myj często ręce, nie dotykaj oczu brudnymi palcami, a nie będą cię oczy bolały, nie będą się ropiły.
2. Nie wpatruj się w słońce lub w rażące światło.
3. Nie czytaj, nie pisz, nie szyj o zmroku.
4. Przy czytaniu i pisaniu siedź prosto, nie nachylaj się nad książką ani zeszytem.
5. Chroń oczy przed dymem i kurzem.
6. Nie rób żadnych figli z oczami.

93. Młócka.

Dudnią echem w zagrodzie,
Aż oddają obórki!
To w Stachowej stodole
Biją młocki do czwórki.

Na dwie strony snop żytni
Rozciągnięty pokotem;¹⁾
Furczą w górze bijaki,
Uderzając jak młotem.

Łupul cupul Stach z Józwą...
Łupul cupul Jaś, Grzela...
Co uderzą — to ziarno
Po pod bunt²⁾ wystrzela!

Pada zboże półkołem,
Jak grad z chmurnej ulewy,—
Wietrzyk polny oddziela
Czyste ziarno od plewy.

El.

¹⁾ Pokotem — rzędem jeden przy drugim.

²⁾ Bunt — drzewa, które podtrzymują krokwie pod dachem.

94. Przywiązanie psa.

Młody majtek angielski, powracając do ojczyzny po kilkoletnim pobyciu w Ameryce, chciał zabrać ze sobą pięknego psa nowofundlandzkiego, który był jedynym przyjacielem jego na obcej ziemi. Lecz kapitan okrętu za nic na to zgodzić się nie chciał. Majtek tedy z wielkim smutkiem musiał się poddać jego woli. Ponieważ do ostatniej chwili spodziewał się, że mu się uda zmiękczyć serce kapitana, zabrał więc ze sobą pocziwe zwierzę do portu. Atoli kapitan był nieugięty, więc majtek wsiadając do łodzi, pozostawił psa na brzegu, zmuszony rozstać się z nim na zawsze.

Pies zrazu niespokojnie spoglądał za swym panem, nie ruszając się z miejsca, jak gdyby nie dowierzał, że pan jego ukochany mógłby go naprawdę opuścić. Dopiero, gdy łódź przybiła już do okrętu, gdy młodzieniec zniknął z oczu, a statek rozwiniawszy żagle, szybko oddalać się zaczął, pies wskoczył we wodę i puścił się za nim wplaw.

Psy nowofundlandzkie pływają doskonale, wkrótce więc majtek spostrzegł, że ulubione jego zwierzę płynie tuż za statkiem. Wzruszony tem przywiązaniem psa, majtek błagał i zaklinał kapitana, aby psa zabrać kazał na pokład, lecz nieliłościwy człowiek trwał ciągle w uporze. Straszna męczarnia pocziwego zwierzęcia trwała przez cały dzień. Majtkowie podtrzymywali jego życie, rzucając mu do wody trochę pożywienia; ale w końcu siły biednego psa wyczerpały się zupełnie. Położył się na falach i bezwładnie dał się unosić prądowi wody.

Wówczas dopiero litość ozwała się w sercu kapitana; pozwolił zabrać nawpół żywe zwierzę na pokład statku. Z największym pośpiechem wydobyto psa z wody i wszelkich dołożono starań ażeby mu życie ocalić. Nietylko pan jego, ale wszyscy majtkowie i podróżni pielęgowali go na wyścigi. Pies przyszedł wreszcie do siebie, chociaż osłabienie trwało dość długo. Okręt zbliżał się już do brzegów Anglii, gdy niespodzianie zaskoczyła go straszna burza. Miotany falami, uderzył o ostre skały powodne i rozbił się tak, iż dla załogi żadnego nie było ratunku. Wszyscy zginęli oprócz owego młodego majtka, którego wierny pies uratował od śmierci. Nieprzytomnego, lecz żyjącego jeszcze wyniósł on na brzeg, a złożywszy ostrożnie na

ziemi, zaczął szczekać i nawoływać, gdyż w okolicy pustej nie było widać ludzi. Nadbiegło wreszcie kilku rybaków, którzy, widząc, co się stało, zaczęli ratować omdlałego. Pies śledził niespokojnie wszystkie ich poruszenia, jak gdyby nie był pewien, czy im może zaufać, lecz gdy pan jego otworzył oczy, pocziwie zwierzę zaczęło skomleć radośnie, liżąc ręce rybaków i widocznie usiłując okazać im swoją wdzięczność. Potem dopiero, znużone i wysilone, położyło się u nóg ukochanego pana, nie spuszczać z niego oczu.

95. Wdzięczna uczennica.

Dziwiła się Marysia, gdy pewnego dnia nie usłyszała dzwonka szkolnego, który codzień zwoływał dzieci na naukę. Mimo to poszła do szkoły, gdzie zastała już kilkoro dzieci. Były one smutne i szeptały coś między sobą. Gdy się do nich zbliżyła, powiedziały jej, że nauczycielka zachorowała i dlatego nie będzie nauki. Posmutniała Marysia, gdyż kochała bardzo nauczycielkę, która ją już przez trzy lata w tej szkole uczyła.

Dzieci posiedziały jeszcze chwilę, potem zabrały książki i wracały do domu. Marysia tylko została, myśląc o tem, co się dzieje z chorą nauczycielką, czy ma kogo, coby jej usłużył, wody podał, w piecu napalił. Po chwili namysłu zostawiła książki w izbie szkolnej, a sama weszła do kuchenki. Stała przy drzwiach pokoju, w którym leżała nauczycielka i słuchała. W pokoju było eicho. Nagle nauczycielka zaczęła silnie kaszleć. Wtedy Marysia uchyliła drzwi i weszła do pokoju, a na skinienie nauczycielki zbliżyła się do łóżka i ucałowała rękę chorej. Nauczycielka pogłaskała dziewczynkę i rzekła: „Proszę Cię, Marysiu, podaj mi wody.“

Marysia podała chorej czempredziej szklankę wody i zapytała, czy może napalić w piecu, gdyż w pomieszkaniu było chłodno. A gdy nauczycielka dała znak głową, że zgadza się na to, dziewczynka zabrała się do roboty. Wkrótce potem słychać było trzask sosnowego drzewa w piecu. Marysia ośmielona ucałowała znowu rękę nauczycielki i odezwała się: „Chcę panią o coś poprosić; czy nie pogniewa się pani na mnie?“ „O nie, mów, moje dziecko“ — odpowiedziała nauczycielka. Wtedy Marysia poczęła mówić nieśmiało: „Kobieta, która pani usługuje, rzadko przy-

chodzi. Jał bardzo, bardzo proszę, żeby mi pani pozwoliła w dzień tu przychodzić. Poproszę rodziców o pozwolenie i wiem, że nie odmówią mej prośbie.“ Nauczycielka, posłyszawszy to, podniosła się cokolwiek, ucałowała głowę Marysi i wyszeptwała: „Dobrze, moja kochana. Jutro się zobaczymy, a teraz idź do domu.“ Po tych słowach odwróciła się do ściany, a dwie duże łzy stoczyły się z jej oczu. Łzy te były oznaką radości, że miała tak dobrą uczennicę.

Nauczycielka chorowała długo. Naczelnik gminy sprowadził lekarza, który ją często odwiedzał. Mieszkańcy wioski nieraz przychodzili dowiadywać się o jej zdrowie; jadąc na targ do miasta, wstępowali, aby się zapytać, czy nie potrzeba czego z apteki lub ze sklepu. Ale najwierniejszą opiekunką chorej była Marysia. Za pozwoleniem rodziców codziennie po kilka razy zaglądała do mieszkania chorej.

Po kilku tygodniach nauczycielka blada i osłabiona jeszcze, ale zdrowa weszła do izby szkolnej. Ze łzami w oczach podziękowała Marysi wobec wszystkich dzieci za jej usłużność! Dziękowała też wszystkim za dobre serce. Ksiądz proboszcz pochwalił Marysię na lekcji religii i powiedział, że spełniła piękny uczynek, gdyż Bóg nakazał chorego odwiedzać i pielęgnować.

96. Skrzydlaty więzień.

W pokoju nad oknem wisi klatka, a w niej siedzi czyżyk. Ma wszystkiego poddostatkiem: jedzenia i wody. Dzieci pamiętają o nim: co rano wsuwają do klatki kilka gałązek zielonych, żeby czyżyk miał złudzenie ogrodu.

Przez długi czas siedział czyżyk skulony w kącie klatki, piórka miał najeżone i nie chciał przyjmować żadnego pokarmu; ale teraz jak się dzieciom zdaje, przywykł i jest zupełnie szczęśliwy.

Wyjeżdżając na letnie mieszkanie, dzieci zabrały ze sobą czyżyka, a klatkę zawiesiły nad oknem, które wychodziło na ogród i było zawsze otwarte.

Ptaszek rozglądał się ciekawie, jakby sobie coś przypominał. Zapach świerka rosnącego przed oknem, dziwnie go upajał.

Wtem na sąsiednim drzewie odezwał się jakiś ptaszek. Odezwał się raz, potem drugi, niby głosu próbując, potem rozbrzmiały dźwięki coraz piękniejsze.

„Co to?“ pomyślał nasz czyżyk. „Co słyszę? To moja pieśń rodzinna. Rozumiem dźwięk każdą.“

I zaczął przypominać sobie całą swoją przeszłość. Ten las... gęsty świerk... śpiew ojca... życie z braćmi czyżkami... swobodę... I straszna ogarnęła go tęsknota.

„Ach, weźcie dostatki, weźcie tę piękną klatkę“, wołał czyżyk, bijąc główką o żelazne pręty, „a mnie tylko jedno dajcie... swobodę! Ale ludzie nas nie rozumieją... nie rozumieją!“

Ciężko westchnął czyżyk. Było to ostatnie westchnienie ptaszka. Nad ranem znaleziono go nieżywego.

Dzieci nie mogły zrozumieć, co się to stało, dlaczego czyżyk żyć przestał, chociaż mu niczego w klatce nie brakło.

M. Weryho.

97. Dowcipna odpowiedź.

Ignas nie miał dwóch lat jeszcze, a już począł okazywać wielkie zdolności i nadzwyczajną pamięć. Ojciec kupił mu ksążkę z obrazkami, i matka bawiąc się z nim, nazywała mu każdego ptaszka, a chociaż ptaszków było kilkadziesiąt, Ignas spamiętał nazwisko każdego. Kiedy skończył lat trzy, dostał Ignas pierwszy tom historii polskiej przez Pielgrzyma z Dobromiła. Wkrótce znał wszystkich królów i nigdy się nie omylił w ich nazwaniu. Ktoś chciał się przekonać o bystrości Ignasia, pokazuje mu więc jednego z królów i pyta się: „Jakże się ten zowie?“ — „Miehał Korybut“, odpowie chłopczyzna. „A ten?“ dodał ów pan, udając że przewrócił kilka kartek i wskazał na tegoż samego króla. „Wiśniowiecki“, zawołał Ignas z dowcipną miną.

98. Ezop.

Pan Ezop kazał swym niewolnikom gotować się do dalekiej podróży. Zapakowali więc potrzebne rzeczy i podzielili się łómką, który mieli dźwigać. Ezop prosił, aby mu jako nowo przybytemu i prócz tego mniej silnemu, dali ciężar najlżejszy. Towarzysze odpowiedzieli uprzejmie: „Całkiem cię od tej pracy zwalniamy“. Lecz Ezop na to: „Nie byłoby to słusznie, gdybym się od pracy wyłączał“. Pozwolili mu przeto wybrać sobie cię-

żar podług upodobania. Wybrał Ezop kosz z chlebem, który dwóch niewolników nieść miało. Wszyscy zaczęli się śmiać z niego, mówiąc: „Co to za głupiec! prosił o najłżejszą pracę, a wybrał najcięższą.“ Potem włożyli Ezopowi na plecy kosz ogromny i śmiali się z jego głupoty. Gdy Ezop ugiął się pod niezmiernym ciężarem, kupiec chwalił jego gorliwość i pracowitość. Skoro przyszli na popas, Ezop odebrał rozkaz, aby podzielił chleb między swych towarzyszków. Gdy to uczynił, kosz jego do połowy się wypróżnił. Wieczorem rozdano znowu chleb między niewolników, a Ezop mając nazajutrz kosz prawie próżny, mógł iść daleko prędzej, niż jego towarzysze, którzy, stękając pod ciężarem tłumoków, teraz dopiero poznali rozum Ezopa.

99. Prosty a głęboki pomysł.

Czteroletnia Kostusia siedziała sobie raz w kąciku, a zatykając uszy rączkami, powtarzała: „Ach, mój Boże! żebym ja też tego nie słyszyła!“ „Czego?“ spytała matka. „A tego, co sobie myślę“, odpowiedziała dziecina. „Luba Kostusiu, w niewinnej prostocie twojej, jakież głęboki wyjawiałś pomysł. Jakże to często własne myśli są natrętne i słyszećby ich się nie chciało. W niepokojności, w smutku, mimowolnie ściga nas taka myśl nieustanna. O! jakby to dobrze było, gdyby zatkawszy uszy, przystępu zabronić jej można“.

100. Pieśń o ziemi naszej.

Wincentego Pola.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ściły?

A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie?
Jako dzisiaj przy macierzy!

Kto tam zgadnie, gdzie osiedzisz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z twego gniazda!
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzyć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemie.

101. Hej, siewacze!

Przeorały raz i drugi
Ziemie naszą ciężkie pługi;
A po każdym skiba czarna
Czeka siewu, czeka ziarna.
Hej, siewacze, błogi czas!
Czemuż dotąd niema was?

Burze wstrząsły ziemi łonem,
Wiatr przeleciał nad zagonem,
Spadły z nieba żyzne deszcze,
A was dotąd niema jeszcze!
Hej, siewacze, na wasz trud
Czeka ziemia, czeka lud!

Kości ojców, ich mogiły
Pola nasze użyźniły,
Słońko wchodzi nam powoli,
Białe rosy drżą na roli.
Hej, siewacze, błogi czas!
Stara ziemia czeka was!

102. Brzoskwinie.

Pewien wieśniak przyniósł raz z miasta pięć ślicznych brzoskwiń. Dzieci jego pierwszy raz w życiu widziały owoc ten i cieszyły się nim bardzo. Ojciec podzielił brzoskwinie między czterech synów, a piątą dał matce.

Wieczorem, gdy dzieci zabierały się na spoczynek, zapytał je ojciec: „Powiedzcie mi też, jak wam te piękne owoce smakowały?”

„Wybornie, wyśmienicie! kochany ojcze“, odpowiedział najstarszy. „Jam sobie pestkę schował i wsadzę ją później w ziemię, aby się z niej dochować drzewa, któreby taki sam owoc rodziło“.

„To pięknie, to mi się podoba!“ odpowiedział ojciec, „będzie z ciebie kiedyś dobry gospodarz“.

„A ja zaraz zjadłem moją brzoskwinę“, przerwał najmłodszy synek, „pestkę zaś wyrzuciłem. Ach! to takie słodkie, aż się w ustach rozpływa!“

„Choć nie bardzo mądrze postąpiłeś, aleś zrobił tak, jak to zwykle dzieci czynią. Przyjdą lata, przyjdzie i rozum“. Tu odzywa się syn drugi: „Ja tę pestkę, którą braciszek rzucił, podniosłem i roztłukłem. Było w niej jądro bardzo smaczne, tak słodkie, jak orzech. Moją brzoskwinę zaś sprzedałem i dostałem za nią tyle pieniędzy, że gdy pójdę do miasta, będę sobie mógł ze dwanaście kupić brzoskwiń“.

Na to ojciec pokręcił głową i rzekł: „Roztropnieć, to prawda, ale wcale nie po dziecięcemu; zakrawa to już na szachrajstwo. Cieszyłbym się wprawdzie gdybyś był kupcem, lecz niech cię Bóg broni, abyś miał stać się szachrajem“.

„A ty, Stasiu“, pyta ojciec dalej, „cóżś zrobił ze swoją brzoskwiną?“ Chłopczyzna nie chciał zrazu odpowiedzieć, lecz na naleganie ojca rzekł: „Zaniósłem swoją brzoskwinę Kubo-

wemu Wojtusiowi, który leży chory na febrę. Nie chciał jej przyjąć ode mnie, ale zostawiłem ją przy jego łóżeczku i odszedłem“.

„Powiedzcież mi teraz“, rzekł ojciec do chłopców, „który z was użył najlepiej swojej brzaskwini?“ Odpowiedzieli wszyscy trzej razem: „Staś, Staś, kochany ojczel!“ Zawstydził się Staś na tę pochwałę, a matka przytuliła go do siebie i uściśkała serdecznie.

Daj Boże, by wszystkie dzieci tak się rumieniły jak Staś.

103. Do bociana.



Pędź, niewdzięczny! lotem strzały
Tam, gdzie miłe są upały,
Tam, gdzie wiecznie kwitnie maj.
Mnie niech zimno krew tu zetnie!
Nie polecę w strony letnie,
Bo mnie milszy ojców kraj!

Jażbym rzucił lasy, zdroje,
I rodzinne gniazdo moje,
Że je wkrótce śnieg ma skryć?
Niech tam rozkosz będzie raj,
Ja nie rzucę mego kraju,
Tu chcę umrzeć, lub tu żyć.

Słyszysz, słyszysz, jak cię goni
Głos puszczy, gajów i ustroni,
Jezior, rzek, ustępów, błot?
„Czekaj synu, w złą nas doli
Nie zostawiaj, bo to boli,
Czekaj, wstrzymaj bystry lot!“

Ty nie słyszysz! — więc, niewdzięczny,
Jako promień pędź miesięczny,
Gdy się z czarnych wyrwie chmur;
Kiedy możesz, żyj szczęśliwie
Z obcymi na obcej niwie,
Twarde serce twoje jak mur!

Bo kto musi w obce kraje
Lecieć, serce mu się kraje,
Leż wylewa gorzki zdrój!
Ty się cieszysz, ty nie płaczesz,
Klaszczesz dziobem i kołaczysz,
Jakbyś w kraj powracał swój.

Pędź, niewdzięczny! Pośpiech mały
Błyskawicy, gromu, strzały,
Ty pędź szybciej, noce, dnie.
Dalej! dalej! gdzie daleka
Z szczęściem na cię ziemia czeka,
Ja ci nie zazdroszczę — nie!

K. Zawadzki.

104. Jabłoń i chłopczyk.

Wszedł chłopczyk do ogrodu, ślaął przy jabłoni
I tak przemawia do niej:

„Moja ty jabłoneczko, drzewko ukochane!
O, jakież ty masz śliczne jabłuszka rumiane!

Palząc na twoje szczęście, serce się rozpływa,“
Na to jabłoń odpowie: „Tak jestem szczęśliwa;
Alem ja nie od razu taką jak dziś była,
Najprzód mnie ręka Boża ziarnkiem utworzyła.

Byłam bardzo maleńka, kiedym wyszła z ziemi,
Ledwie mnie kło mógł dojrzeć z listkami mojemu;
Rosłam szybko, wesoło przy Boskiej pomocy,
W dzień świeciło mi słońce, rosę miałam w nocy.

Kiedy deszczyk polewał pola i ogrody,
I mnie się też dostało. Abym uszła szkody,
Z czasem przychylna ręka podporę mi dała.
Skorom po kilku latach siły już nabrała,
Wiosna z wonnych kwiateczków uwiła wianuszek,
A dziś mnie Bóg łaskawy dał tyle jabłuszek.

Tak jak się ze mną działo, tak się z wami dzieje;
W maleńkich pokładają rodzice nadzieje;
Pan Bóg czuwa nad niemi, przełożeni strzegą;
A kiedy dojrzałego wieku już dobiegą,
Trudów, starań, zabiegów owoce przynoszą,
Pożytkiem są dla kraju, rodziców rozkoszą“.

105. Kalina.

Teofila Lenartowicza.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem;
Drobną deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione;
Tak się stroiła, jak dziewczę młode
I jak w lustro patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: Dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała,
I jak dziewczyna w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

106. Basia mleczarka.

Mama Basi miała krowy bardzo mleczne, pielęgnowała je starannie i żywiła dobrze. Z nabiału miała dochód znaczny i stały, którym nie tylko opędzała wiele potrzeb domowych, ale przychodziła także w pomoc gospodarstwu rolnemu.

Basia chciała we wszystkim być matce pomocną. Zaznajamiała się więc powoli z gospodarstwem nabiałowym i poczyniła takie postępy, że kiedy matka wybierała się do miasta, mogła jej powierzyć gospodarstwo mleczne.

Raz wybierała się matka w dłuższą podróż i rzekła do Basi: „Wiem, moja Basiu, że umiesz już krzątać się koło krów i nabiału; muszę ci przecież przypomnieć, jak sobie masz postępować w czasie mojej nieobecności. Pamiętaj aby pojenie, dawanie paszy i dojenie odbywało się zawsze w swoim czasie, nie zaś jednego dnia o tej, a drugiego o innej godzinie. Z pastwiska niech bydło wraca przed nastaniem upału; po południu zaś niech nie wychodzi na paszę, aż gdy najgorszy upał minie“.

„Wiem o tem, matulu“, rzekła Basia, „że upał bydłu szkodzi i zmniejsza ilość mleka. Zresztą daje się u nas bydło zieloną paszę w oborze; więc na pastwisko idzie niegłodne. Powiedzcie mi tylko, czy w oborze dawać teraz bydłu samą koniczynę, czy też mieszankę ze słomą?“

„Teraz właśnie“, odpowie matka, „siecze się dla bydła młodą koniczynę, która jest wodnista; więc trzeba do niej dodawać trzecią część słomy. Uważaj, żeby koniczyna nie była mokra po deszczu, gdyż taka szkodzi bydłu. Dopilnuj także, aby w stajni, w mleczarni i około naczyń do mleka przestrzegać zawsze czystości, która jest najważniejszym przykazaniem w gospodarstwie nabiałowym“.

„Już ja o tem nie zapomnę“, zapewniała Basia. „Krowy muszą być zawsze tak wymyte i wyczyszczone, żeby się na nich sierść aż połyskiwała. Nie mogłabym patrzeć na zabrudzone krowy. Skopce codziennie wyparzę gorącą wodą, a cedzidła płócienne wygotuję. Powiedzcie mi tylko mamusiu, kiedy zbierać śmietanę?“

„U nas“, odrzekła matka, „podsiada się mleko dość rychło, gdyż stoi w płytkich saganach. Więc już po 12 godzinach zbiera się pierwszą i to najlepszą śmietanę. Z takiej świeżej

śmietany wyrabia się najprzedniejsze masło, za które płacą dobrze. Takiego masła dostarczamy do miasta tym, co od nas biorą nabiał.

Po drugich 12 godzinach zbiera się znów śmietanę, ale już trochę gorszą, bo zawiera ona więcej sernika. Z niej wyrabiamy masło na zwyczajny domowy użytek. Jeśli raz tylko zbiera się śmietanę, to najwcześniej po 18 godzinach. Czy tylko będzieś umiała wyrobić dobrze masło?”

„Nie bójcie się, matulu; dam ja sobie radę. Maślnicę napełnię więcej niż do połowy śmietaną, uważając, ażeby nie była cieplejszą, niż przestała woda. Gdyby z powodu upału była cieplejsza, to wstawię maślnicę w zimną wodę. Następnie wybijając będę masło zrazu powoli, potem szybciej, a w końcu znowu powoli. Wszystko to potrwa około 40 minut. Potem wyrobię masło czystą bukową łyżką w wodzie, aby utraciło mleko i stężało, a potem nasolę, dając 2 do 4 dekagramów soli na jeden kg. masła“.

107. Modrzew.

Modrzew przewyższa co do piękności i użyteczności inne drzewa iglaste. Dorasta on stu stóp wysokości, pień ma ostrokręgowy, korę siwą, nie tak popękaną, jak u sosny, gałęzie okrągławo ułożone, lecz nie tak kształtne, jak u jodły i sosny, przytem zwykle zwieszane. Igły opadają przed zimą, a pozostałe po nich pochwki, równie jak pączki, z których na wiosnę mają nowe wyrastać, tworzą na młodych gałęziach zgrubienia, jakich nie widzieliśmy na żadnem innem drzewie. Modrzew wyróżnia się jeszcze ze wszystkich drzew tem, że na wiosnę młode liście żółto-zielonawej barwy zebrane są w kupeczki od 15 do 20 listków.

Modrzewie rosły u nas niegdyś obficie, stanowiąc całe bory, lecz nierozważna gospodarka doprowadziła prawie do zagłady tego pięknego drzewa. Trafia się ono jeszcze dziś gdzieś, jako to w górach Karpackich w okolicach Krakowa, Radomia i Opatowa; jest także piękna modrzewina w okolicach Grójca pod Warszawą. Stare kościoły, dwory modrzewiowe i śpichrze świadczą o tem, że modrzew był u nas bardzo rozpowszechniony. W ostatnich też czasach zwrócono uwagę w go-

spodarstwie leśnem na to piękne drzewo i zaczęto się bardzo jego uprawą zajmować, zwłaszcza w większych majątkach.

Na belki i podwaliny modrzew stanowi wyborny budulec, bo żywica, którą obficie zawiera, rozlewa się po całej jego powierzchni, dzięki czemu robaki nie taczają drzewa, a i wilgoć nie niszczy go.

O tem, że i u nas rosną wielkie i nadające się do budowy modrzewie, przekonać się można i stąd, że belki użyte przy budowie teatru Wielkiego w Warszawie wyrobione są z modrzewia krajowego. I wspaniała wieża na katedrze Sandomierskiej wystawiona przed 20 laty zbudowana jest całkiem z drzewa modrzewiowego.

108. Żebraczka.

W czasie głodu uboga nieznajoma kobieta chodziła w mroźny dzień po wsi od chaty do chaty i prosiła o wsparcie. Odzież na niej była czysta, ale wytarta. Głowę obwiązała chustką, z pod której wyglądała zaledwo część twarzy. W prawej ręce trzymała biedaczka kij, a na lewej miała koszyk. W niektórych chatach dawano jej tylko po kawałku suchego chleba, a znalazło się wielu takich, nawet zamożniejszych, którzy ją z niczem odprawili. Jeden tylko biedny wieśniak przyjął ubogą do zagrzanej izby, dał jej dużą kromkę chleba i usypał jej parę garści ziarna do koszyka.

Nazajutrz mieszkańcy wioski wezwani zostali na wieczerzę do pałacu, w którym mieszkała pani bardzo bogata. Wieśniacy nie spodziewali się nigdy takiego zaszczytu i bardzo się dziwili zaproszeniu. Gdy weszli do sali, zobaczyli dwa stoły. Jeden mały zastawiony był najlepszymi potrawami; na drugim, daleko większym znajdowało się dużo talerzy, lecz na nich zaledwie po kawałku spleśniałego chleba, tu i owdzie kilka nadgniętych ziemniaków lub garść otrębów. Na wielu talerzach nie było wcale nic. Wszyscy spoglądali ze zdziwieniem po sobie i po stołach. Wtedy pani przemówiła: „Żebraczką, która wczoraj was wszystkich o wsparcie prosiła, byłam ja sama. Dowiedziałam się, że jesteście niełitościwi dla ubogich i chciałam się przekonać o prawdzie. Znalazło się wczoraj tylko dwoje poczciwych ludzi, którzy pozwolili mi ogrzać się w izbie i wspomogli mię, czem mogli. Dziś będą

oni ze mną razem jedli wieczerzę, a wy częstujcie się jałmużną, którą daliście mi wczoraj. Macie ją całą na stołach“.

Nielitościwi wieśniacy ze wstydem spuścili oczy, a dziewczka tak zakończyła przemowę: „Niechże to wam posłuży za przestrogę i naukę. Tak samo jak ja was dzisiaj zaprosiłam na wieczerzę, tak Bóg zawezwie was wszystkich przed Swój tron. Kto był litościwy dla biednych, ten dostąpi także miłosierdzia na sądzie ostatecznym.“ Chrystus powiedział bowiem: „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili“.

109. Kawa.

Napojem bardzo u nas rozpowszechnionym jest kawa. Dostarczają jej palone ziarnka drzewa kawowego. Drzewo to pochodzi z środkowej Afryki, gdzie dotychczas rośnie dziko w Abisynji i Sudanie, tworząc w ostatnim całe lasy. Mieszkańcy tych krain używali kawy od niepamiętnych czasów, ale zupełnie inaczej, niż my to dzisiaj robimy. Nie robili z niej napoju, tylko różne potrawy.

Kto właściwie wpadł na myśl przyrządzania napoju z jej nasion, niewiadomo. Arabowie, których kraj dostarcza obecnie najlepszej kawy — mokki, przypisują sobie tę zasługę. U nich rozpowszechnił się zwyczaj pijania kawy przed 400 laty. Arabowie zaczęli drzewo kawowe uprawiać i wyhodowali następnie najlepsze gatunki.

Drzewo kawowe udaje się tylko dobrze w krajach gorących; przytem potrzebuje ono znacznej ilości wilgoci. Ale gorąco jest głównym i nieodzownym warunkiem dobroci kawy; to też lepszej dostarczają plantacje w okolicach upalnych a suchych, jeśli się je obficie podlewa, niż w wilgotnych, ale mniej gorących. Zresztą uprawa jej, jak i większości roślin w krajach gorących, nie jest wcale uciążliwą; sprowadza się ona do obcinania drzewek, aby nie rosły zbyt w górę, i do nieustannego polewania. Dziś najwięcej uprawiają kawy w Brazylii w Ameryce Południowej i na wyspie Jawie w Azji. Arabja dostarcza wprawdzie najlepszej, ale za to w stosunkowo małych ilościach.

Pierwszą kawiarnię w Europie założyli Turcy w XVI wieku, a więc przeszło 300 lat temu; w 100 lat później zapoznali się z kawą Paryżanie. Odtąd używanie kawy rozpowszechniło się

szybko. W kilkanaście lat później były już kawiarnie po wszystkich wielkich miastach. Pili ją tylko zamożni, bo była droga.

Kawa posiada własności wzmacniające i orzeźwiające, jeżeli jej się miernie używa; picie mocnej kawy w większych ilościach wywołuje rozdrażnienie nerwów.

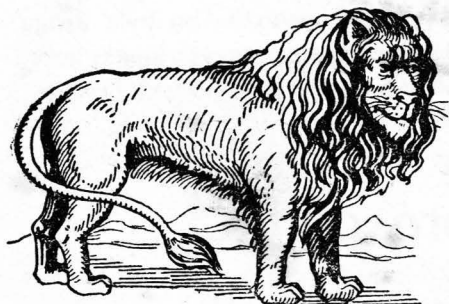
110. Dobra córka.

Dawnemi bardzo czasy żył pośród gór karpackich w ubogiej chatce pewien starzec ze swą córeczką Urszulą. Matka Urszulki dawno już była umarła. Ojciec zaś będąc w podeszłym wieku, nie mógł pracować. Biedny staruszek nie miał nikogo na świecie prócz kochanej swej Urszulki, która jako dobra i pracowita dziewczyna, prawdziwą była podporą ojca i ciągle o nim miała staranie. Urszulka chodziła do lasu na jagody, na orzechy i zbierała dzikie owoce, aby ojciec miał czem się posilić, chodziła też do źródelka po kryniczną wodę, żeby ojciec kochany mógł zawsze pragnienie ugasić. Jednem słowem, Urszulka wystarała się o wszystko, czego tylko ojciec potrzebował.

Razu jednego wyszła także do lasu, aby nazbierać jabłek i gruszek do gotowania i do suszenia. Wtem spostrzegła jakiegoś starca, który przechodząc przez mostek, wpadł do wody. Dobra Urszulka ulitowała się nad nieznajomym starcem i pomogła mu powstać, oświadczając, że odprowadzi go chętnie do domu, żeby się osuszył. Nieznajomy starzec rzekł: „Widzę, moje dziecko, że masz dobre serce, bo ulitowałaś się nad starcem. Wiem, że masz czułe staranie o twym ojcu, że szanujesz wiek podeszły; Bóg ci też pobłogosławi. W upominku przyjmij ode mnie roślinę, która uszczęśliwi ciebie i twojego ojca, a prócz tego zjedna ci miłość u ludzi“. Jakoż starzec ofiarował Urszulce pewną uzdrawiającą roślinę i odkrył jej tajemnicę leczenia wielu chorób. Po chwili starzec, który miał postać pustelnika, zniknął i już go odtąd Urszulka więcej nie widziała. Kto był istotnie tym starcem, to pozostało dla Urszulki na zawsze tajemnicą. Dobra dziewczyna nie mogąc okazać wdzięczności swojej nieznajomemu starcowi, wznosiła zawsze wdzięczną myśl do nieba za błogi dar, którym uszczęśliwiła odtąd siebie i bliźnich.

Błogosław Boże serduszka,
Co czczą siwy włos staruszka.

III. Osioł i lew.



Razu jednego wybrał się lew na polowanie. Brakło mu jednakże rogu myśliwskiego. Po drodze spotkał osła: „Słuchaj“, — rzecze do niego — „ty będziesz moim rogiem myśliwskim; w lesie będziesz wołał dziarsko: „i-a! i-a!“ Osła wbiło to w py-

chę bez granic. Zdawało mu się, że przechadzka po lesie obok króla zwierząt postawi go bardzo wysoko w świecie zwierzęcym. Wtem spotyka go drugi osioł i wita: „Dzień dobry, kochany bracie!“ „Bracie?“ odeprze tamten z oburzeniem, „jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób!“ — „Cóż to?“ Nie poznajesz mnie? Żyliśmy przecież tak długo z sobą?“ — „Nie znam waćpana!“ fuknął dumny osioł: „proszę mnie uwolnić od swego natręstwa!“ — „A, teraz cię rozumiem!“ odparł spokojnie wzgardzony osioł, „towarzystwo, w którym cię tu spotykam, tak ci w głowie przewróciło, żeś zapomniał o swoim pochodzeniu. Posłuchaj: chociaż cię tu widzę w towarzystwie króla naszego, powiem ci na ucho, żeś był i pozostaniesz na wieki — osłem“. I rzekłszy to, ruszył w dalszą drogę.

112. Skąd mamy płótno?

Stara Wojciechowa miała brata Stefana. Ten, wysłużywszy w wojsku aż 12 lat, został woźnym w Krakowie. Gdy Stefan umarł, pozostała po nim 10-letnia sierota, jedynaczka Kasia. Poczciwa Wojciechowa przyjęła ją na wychowanie. Kasia nie była przedtem nigdy na wsi. Pewnego dnia przyniosła Wojciechowa z jarmarku do domu kilkanaście metrów białego, cienkiego perkalu. Gdy Kasia zobaczyła perkal, zawołała: — Ciotuniu! Uszyjcie mnie z tego pięknego płótna parę koszulek!

— To nie płótno, jeno perkal — odrzekła ciotka. Na koszule używam lnianego płótna, gdyż mocniejsze od perkalu. Perkal kupiłam na inne potrzeby domowe.

— A czy perkal to nie płótno? — zapytała Kasia. Płótno wyrabiamy z przędzy lnianej; perkal zaś jest z bawełny, którą do

nas przywożą z gorących krajów. Rosną tam krzewy, które wydają owoc w kształcie torebki, wielkości włoskiego orzecha. Torebka ta po dojrzeniu pęka i otwiera się: wewnątrz znajdują się liczne nasiona, owinięte w białe włókna: z tych włókien wyrabiają różne tkaniny, jako to i perkal. Bawełna jest daleko tańsza od lnu, którego uprawa wymaga wiele pracy. Ale za to płótno lniane jest o wiele mocniejsze. —

— A jakże się to robi, aby otrzymać z lnu ładne, cieniutkie, białe płótno? — zagadnęła Kasia.

— Dużo to wymaga zachodu — odrzekła Wojciechowa. — Będiesz kiedyś na wsi gospodynią, więc powinnaś to dobrze wiedzieć. Ażeby otrzymać długie i cienkie włókna lnu, sieje się nasienia starsze, zwykle dwuletnie, na gruncie gliniastym, a c pulchnym. Siew musi być gęsty. Im gęściej roślinki zejdą, tem wyższe i delikatniejsze będą łodyżki, a tem cieńsze włókno. Następnie oczyszcza się len starannie z chwastów. Gdy główki nasienia żółknąć poczynają, wrywa się roślinki z korzeniami wiąże w małe wiązki czyli garście i zostawia na polu, aby wyschły. Potem oddziela się główki od łodyżek na rafie, a wreszcie kładzie się len na rosę, albo moczy się go we wodzie płynącej przez 8 do 14 dni. Woda rozpuszcza i zabiera ze sosą klej roślinny, który spaja włókna z innemi częściami roślin. Wymoczony len suszy się znowu, a potem międli na międlicy; to jest kruszy się twarde części, tak zwane paździerze lnu. Stąd nazwa października. Nie na tem koniec roboty. Po wymiędleniu trzeba włókno trzepać, czesać, a nawet szczotkować, aby je dokładnie oczyścić z paździerzy. Gdy włókno jest zupełnie czyste, równe i gładkie, wtedy przedzie się z niego nitki na kądzieli albo na kołowrotku. Z otrzymanego przedziwa robi tkacz dopiero płótno na tkackim warsztacie. Surowe płótno jest szare; dlatego bieli się je czyli blechuje t. j. rozkłada na trawniku do słońca i polewa czystą wodą. U nas w domu wyrabia się w rok jedną lub dwie sztuki płótna. Część idzie na potrzebę domową, a część na sprzedaż. — Czy też to opłaci się tyle roboty około lnu, zanim się płótno zrobi? — zauważyła Kasia. — Czy nie lepiej kupić gotowego i taniego perkalu?

— Opłaci się robić w domu płótno, moje dziecko, opłaci! — odpowiedziała Wojciechowa. — Jest wprawdzie około lnu i przędzy wiele roboty, ale tę robotę wykonuje się w tym czasie, gdy

niema innych zajęć. Długie wieczory zimowe upływają nam przyjemnie przy kołowrotku i kądzieli, przy pogadance i kolędach. Nie potrzebujemy wydawać pieniędzy na tkaniny bawełniane, które się prędko drą; mamy z własnego płótna trwałą bieliznę, a za sprzedany len, przędzę albo płótno ma się jeszcze nieco grosza w domu. — O! to i mnie, ciotuniu, nauczcie chodzić koło lnu i prząść na kołowrotku! — mówiła Kasia. — Będę wam pomocą; będę wieczorami przędła tak cienkie niteczki, jak sieć pajęcza. Już was nie będę prosiła, abyście mi robili koszulki z perkalu; sama sobie naprędę przedziwa i sama płótno wybiele.

113. Węgiel kamienny.

Przed wiekami na ziemi rosły olbrzymie lasy, złożone z drzew, już dzisiaj nieistniejących. Nikt tam nie gospodarował, chyba jeden wiatr obłamywał gałęzie, obalał pnie drzewne. Na ziemi leżały całe stopy gałęzi i drzew. W wielu miejscach zdarzają się trzęsienia ziemi, od których zapadają się w głąb znaczne przestrzenie, powstają góry i doliny. Pewno takie trzęsienie nawiedziło okolicę lasu, który się zapadł pod ziemię, i ślad po nim zaginął. Przysypane grubą warstwą ziemi, drzewa nie zbutwiały, jeno się zwęgły i skamieniały. Przeszło wiele lat. Na powierzchni osiedli ludzie, pobudowali wioski i miasta, pozakładali pola i ogrody, a zaczarowany las spoczywał pod ziemią. Pewnego dnia przyszli górnicy, zaczęli kopać głęboką studnię, poszukując srebra lub ołowiu. Znaleźli kamień czarny, błyszczący. Coby to było? Długo myśleli, kręcili głowami i nic nie wymyślili. Wreszcie rzucili do pieca. Ale coż to? Kamień się pali i daje taki żar, jakiego nie da najlepsze drzewo. Odtąd węgla stale używali do gotowania i palenia w piecach.

114. Wapień.

Bardzo to pospolita skała, nie brak jej nigdzie na świecie. W niektórych miejscach tworzy ona malownicze grupy, jak np. w sławnej z piękności dolinie Prądnika pod Ojcowem. Nasza Jasna Góra z klasztorem Ojców Paulinów, tak walecznie bronionym przez ks. Kordeckiego od Szwedów, składa się z wapienia.

Góra Wawel w Krakowie także jest zbudowana ręką natury ze skały wapiennej.

Inna odmiana wapieni — kreda — występuje na powierzchni ziemi pod Łubnem w ziemi Suwalskiej i pod Chełmem w Lubelskiej, gdzie tworzy cały łańcuch wzgórz, podobnie jak pasmo wieluńsko-krakowskie. Jeszcze inną odmianą wapienia są piękne marmury. Bywają zupełnie białe jak śnieg marmury, z których rzeźbiarze wykuwają posągi. Ale u nas w Polsce takiego białego marmuru niema; są zato piękne bardzo odmiany szare, czerwone, w różne żyłki. Doskonały materiał na ozdoby budowle, na kolumny, do wykładania murów zewnątrz i wewnątrz, na schody, ołtarze, nagrobki i inne przedmioty. Marmury znajdują się w południowo-zachodniej stronie od Kielc, zwłaszcza pod Chęcinami, gdzie je wyłamują i pilują na bloki. Widzicie więc, jakie to różne odmiany przedstawia zwyczajny kamień wapienny.

Co najciekawsze może, to to, że skały wapienne utworzyły się na dnie morskiem ze szczątków różnych drobniotkich żyjątek. W morzu żyje ich niezliczona ilość, a wszystkie siedzą w wapiennych skorupkach. Gdy zwierzę odumiera, skorupa opada na dno. Z tych skorupki powstały w bardzo długich okresach czasu pokłady wapienia. Jeżeli utrzymy kawałek kredy we wodzie, ażeby się zabieliła, a potem przyjrzymy się kropli zamąconej wody przez mocno powiększające szkła, to nas zdumienie ogarnie. Ujrzymy bowiem mnóstwo bardzo pięknych skorupki, całych czy też połamanych, z których składa się kreda. Jedne z nich są tak drobne, że je widzieć można tylko przez szkła, inne łatwo gołym okiem rozróżnimy; często można w skale wapiennej duże skorupy znaleźć. Skądże się te skały wzięły na ziemi daleko od morza? Oto w różnych czasach powierzchnia ziemi się zmieniała. Dno morskie podniosło się o tyle, że wody ustąpiły, a warstwy wapienne znalazły się na powierzchni ziemi.

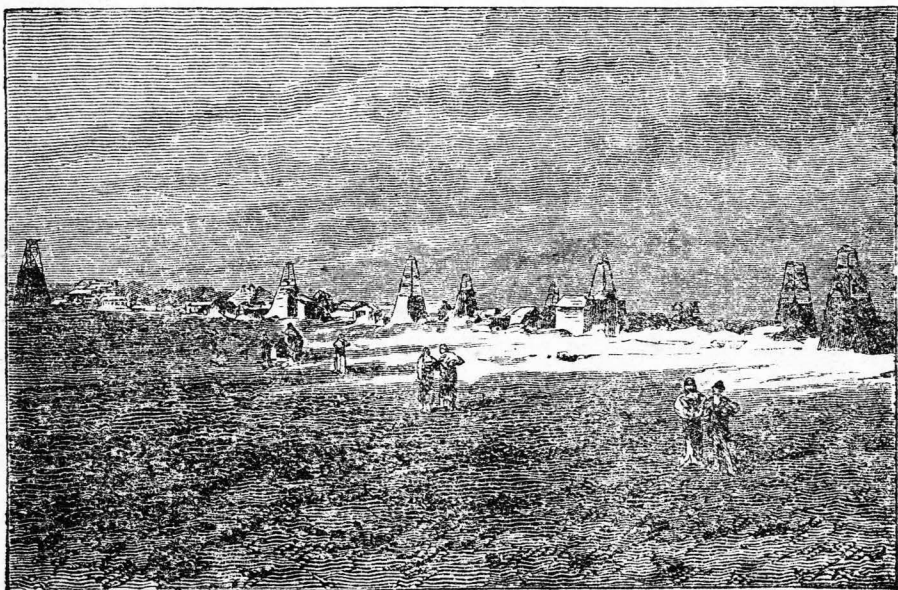
Kopaliny to niezmiernie użyteczne. Sam kamień wapienny w Częstochowie i w innych okolicach służy zamiast cegły jako materiał budowlany. Mnóstwo starożytnych zamków, z których dziś pozostały ruiny, było wzniesionych z wapienia, który, jak się pokazuje, przetrwać może wiele wieków.

Ten sam kamień wapienny, wypalony w piecach, zamienia się w wapno, które, zagaszone wodą i zmieszane z piaskiem, daje nam zaprawę mularską. Wapno służy dalej do wyrabiania

cementu, nieocenionego jako materiał budowlany, zwłaszcza w połączeniu z żelazem.

Z betonu (jest to mieszanina cementu z piaskiem i żwirem) i żelaza zbudowano wspaniały most Poniatowskiego pod Warszawą na Wiśle. Most na Warcie w Poznaniu z Grobli na Miasteczko także z betonu zbudowano. Wznoszą dziś z tego materiału wiele wspaniałych gmachów, które, co do trwałości, nie ustępują budowlom z cegły.

Ma się więc Polska z czego budować i odbudowywać; trzeba jeno rąk chętnych do pracy, a spustoszenia, jakimi nawiedziła pamiętna wojna narodów naszą Ojczyznę, dadzą się naprawić.



Kopalnie nafty.

115. Nafta.

Ojczyzna nasza mieści w swem łonie wielkie i drogie skarby. Nie złoto przecież ani drogie kamienie są temi skarbami. Zaiste, skarby to znacznie większe, aniżeli wszystko złoto, srebro i drogie kamienie na całej kuli ziemskiej, bo one dają uczciwy zarobek wielu tysiącom robotników, służą do utrzymania naszych

fabryk i dają materiał niezbędny zarówno dla rolnika, jak dla przemysłowca i rzemieślnika.

Jednym niezmiernie ważnym skarbem podziemnym Polski jest nafta, którą dobywamy w okolicach Borysławia w Małopolsce. Każdy z nas zna naftę, ale nie każdy wie, że do lampy używamy nafty starannie oszyszczonej (rafinowanej), w ziemi zaś znajduje się nafta surowa, zwana ropą.

W wielu okolicach ropa, zwana także olejem skalnym, występuje na powierzchni ziemi i to zwykle w sąsiedztwie znacznych ilości szczątków roślinnych lub zwierzęcych, jak się to dzieje w Małopolsce. Prawdopodobnie tworzy się ona w ziemi skutkiem powolnego rozpadania się szczątków zwierzęcych i roślinnych. Wytryskuje pospół z wodą lub bez niej ze skały albo ze sypkiej ziemi. Jeżeli na ziemiach naftonośnych będziemy wiercili świdrami głębokie otwory, to nieraz się zdarzy, że ropa wytrysnie w powietrze z takiego otworu w górę niby wodotrysk. Kto znajdzie takie źródło, ten zdobywa majątek. Ropę naftową zbierają w zbiorniki, potem w zakładach, umyślnie w tym celu urządzonych (rafinerjach) oczyszczają. Pokłady naftowe w Małopolsce ciągną się wzdłuż północnego stoku Karpat pasem długim na 400 kilometrów, a szerokim na 40. Zaczynają się koło Limanowej i Nowego Sącza na zachodzie, a przez Iwonicz, Sanok, Borysław i Schodnicę przechodzą do wschodniej Małopolski, gdzie są już mniej obfite.

Jakkolwiek ilość wydobywanej nafty na ziemiach polskich wynosi zaledwie jedną trzydziestą część wszystkiej nafty produkowanej na świecie, to jednak mamy jej aż nadto na własną potrzebę, chociaż dotąd paliliśmy przeważnie naftę kaukaską albo amerykańską.

Jest to także złe zrozumienie własnego interesu. Powinniśmy dołożyć wszystkich sił, żeby ziemie naftowe pozostały nie tylko w polskich rękach, ale żeby w nich znajdował pracę polski robotnik. Pamiętajmy, że dać one nam mogą światło i ciepło dla kilku następnych pokoleń.

Nafta jest dla człowieka bardzo użyteczna. Bez niej nie mielibyśmy dogodnego światła, ani wazeliny, parafiny, smarów, benzyny i innych pożytecznych materiałów.



116. Nie suknia zdobi człowieka.

Żle to, sądzić z ubioru, bo dawne niesie przysłowie: „Nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię“. Marcinek nieraz o tem słyszał, a jednak trudno mu się było o tej prawdzie przekonać. Zawsze rozmawiał niechętnie, a nawet niegrzecznie z temi, co skromne nosili suknie. — Poznam ja od razu, czem kto jest, byłem tylko spojrział na niego, — mawiał do kolegów, a chociaż nie raz mu odpowiadano, że może się pomylić, nie chciał temu wierzyć. Jednakże Marcinek miał wielką zaletę: uczył się dobrze i bardzo cenił ludzi, którzy posiadali naukę.

Razu jednego siedział sobie Marcinek przed południem przy lekcji, kiedy usłyszał, że ktoś zadzwonił. Służącego nie było w pokoju i Marcinek sam drzwi otworzył. Młodzieniec jakiś, strojnie ubrany, wszedł do przedpokoju, uklonił się zrećznie i zapytał: — Czy pan B. jest w domu? — Niema taty, — odpowiedział Marcinek, — ale niech Pan Dobrodziej zatrzyma się w salonie. — I powiedziawszy to, wprowadził gościa do salonu, prosząc go koniecznie, aby usiadł na kanapie.

W tej chwili znów ktoś zadzwonił. Marcinek otworzył. Wszedł jakiś człowiek średniego wzrostu, o miłej twarzy, ale ubiór jego nie był piękny. — Czy jest pan B., — zapytał się, zamykając drzwi za sobą. — Niema. — A kiedy powróci? — Nie wiem; a jaki pan ma interes? — Chciałem się widzieć z panem B. — To niech się pan tu zatrzyma. — I Marcinek wskazał obcemu miejsce na ławie pod oknem.

Nieznajomy uśmiechnął się, skłonił się i już wychodził, kiedy na progu zobaczył wracającego pana B. — A! jak się masz! — zapytali obydwa, i zaczęli się serdecznie całować. Marcinek stanął w osłupieniu. — Kiedy powróciłeś, jak dawno tu jesteś? — mówił uradowany pan B. — Marcinku, — zawołał, — ucałuj ręce tego pana; on dla mnie wiele uczynił, gdy byłem w biedzie. — Marcinek, nie śmiejąc oczu podnieść, zbliżył się do nieznajomego, a nieznajomy czule uściśnął chłopczyka. — O! będziesz się cieszył, Marcinku, bo ten pan, to profesor nauk przyrodniczych; był kilka lat za granicą, powraca znowu do kraju, może nas wiele rzeczy nauczyć. — Marcinek zmieszany, nie mógł przyjść do siebie, w końcu rzekł: — A, jeszcze tatko ma jednego gościa. Pan B. wszedł do salonu, spojrział na młodzieńca i zapytał:

— Co mi powiesz, Jakóbie? — Mój kolektor mnie przysłał, żeby panu przypomnieć o wykupieniu biletu, bo jutro ciągnięcie loterii. —

Marcinek zdziwiony niemało, żałował swojej niegrzeczności dla profesora i przyjaciela ojca. Przyznał się ojcu do popełnionej omyłki, i odtąd, nie uważając na ubiór, był dla każdego grzecznym i uprzejmym.

117. Sąd krasnoludków.

Uroczyście, wspnianie, otwart się królewski sąd w Słowiczej Dolinie. Król jegomość wystąpił w całym majestacie.

Purpurowy płaszcz jego niósł za nim opasły paź Kręzolek, złota korona błyszczała na królewskiej głowie, a brylantowe berło słało takie blaski, jak wschodzące słońce. Przed stopniami sali sądowej stał oskarżyciel, bystry Kocieoczko, tuż za nim Mikuła i Pakuła w paradnych mundurach, dokoła, ale w pewnem oddaleniu, tłoczyły się krasnoludki, a wszystkie oczy zwrócone były na oskarżonego.

Szczurek stał pochylony, skurczony w ubogiej sukmanie na grzbiecie, mając przednie łapki mocno związane za plecami, pozieleniały ze wzruszenia i ze strachu, a tak drżący, że nogi widocznie trzęsły się pod nim jak w febrze.

Właśnie wymowny Kocieoczko, skończywszy przedstawiać jego winę, żądał surowej kary: już to co najmniej powieszenia na najwyższej gałęzi dębu, oraz zwrotu strat i kosztów procesu. Szanowny oskarżyciel aż ochrypnął w ciągu tego wywodu i, ocierając spocone czoło, sapał głośno.

Król skinął berłem i zapytał sam:

„Jak się zowiesz nieszczęśniku?“

Zsiniał szczur i na nogach zachwiał, aż popchnięty ku królowi przez Mikułę: „Wiechetek, do usług!“ rzecze cichym głosem.

A król: „Dlaczego brałeś to ziarno?“

„Głodny byłem... nędzarz byłem... dzieci moje konały z głodu“.

„Ale głód nie daje prawa do cudzego mienia. Czy nie tak?“

„Tak miłościwy królu!“ odrzekł Wiechetek, drżąc cały.

„Więc cóż masz na swoją obronę?“ spytał król.

„Nic... prócz głodu... Głód... straszny głód“.

„Ale nie mogłeś i przy największym głodzie zjeść tej miary zboża. Dziesiąta część wystarczyłaby tobie i dzieciom twoim“.

„Zimy się bałem, miłościwy królu! Zima strasznie długa, ciężka... Połowa moich dzieci wyginęła tamtej zimy, królu! Ach, jak cierpiały strasznie!... Najmłodsze... najmłodsze dziecko moje, królu, umierało w oczach moich z głodu... Sześć dni, sześć nocy patrzałem na to... I żyłem, żyłem... i nie mogłem sam za nie skonać... nie mogłem!“

Odwrócił król oblicze sędziwe, na którym malowała się litość, a w drużynie krasnoludków słychać było łkanie. To Pietrzyk płakał.

Wiechetek mówił dalej:

„Po najmłodszym umierał starszy... starszy syn mój, królu, umierał w moich oczach... Dziesięć dni, dziesięć nocy konał... i ja patrzałem na to... nie mogłem umrzeć za niego sam, choć umierałem z nim razem“.

Zmarszczył król brew, żeby powstrzymać łzę, nadbiegającą do oczu, w drużynie krasnoludków słychać było głębokie westchnienie, Pietrzyk łkał głośno.

Wiechetek mówił dalej:

„A potem umarł trzeci... Trzeci syn mój, królu, umierał... Z głodu syn mój umierał, o królu, a ja patrzałem na to. W moich oczach, królu, syn mój umierał z głodu... A ja nie mogłem umrzeć!“

Wtem począł się trząść bardzo, i zmrużywszy oczy:

„Głód... głód... głód...“ szeptał nieprzytomnym głosem.

Ale król Błystek podniósł berło i rzekł:

„Srogim być muszę, boś zawinił srodze. Ziarno to było siewne, na siew dla podobnego tobie nędzarza przeznaczone, który też głodne dzieci ma. Niech się nad tobą spełni sprawiedliwość!“

„Śmierć, śmierć złoczyńcy!“ zawołał Kocieoczko.

„Śmierć“, powtórzyli za nim Mikuła i Pakuła jednym srogim głosem.

Wiechetek stał, jakby porażony, trząsąc się i patrząc obłąkanym wzrokiem.

Krół odwrócił się i już miał sądny tron opuścić, kiedy wtem Pietrzyk rzucił się ku niemu z łłumu i do nóg mu padłszy, zawołał:

„Głosu chcę za nim! Głosu za skazanym, miłościwy królu. Głosu, któryś mi sam dać chciał! Głosu! głosu! chcę!“

„Więc go masz!” rzecze król i schylił się ku niemu i dotknął go bardzo łaskawie.

A Pietrzyk z łkaniem:

„Więc przebac, przebac, królu dobry! Przebac! Powiedz, powiedz królu, że przebaczasz! To pieśń moja będzie, moja jedyna. A inaczej nie chcę, nie chcę!...”

Zapłakał stary król, widząc taki gwałt żałości w ulubionym słudze i rzecze:

„Zwyciężyłeś, Pietrzyku! Zwyciężyłeś, miłosierdziem sprawiedliwość moja. Niechże się stanie po twojej woli!”

Tu skinął berłem i rzekł:

„Puście mi wolno nędzarza tego, i nakarmcie dzieci jego! Ze stołu mego mają odtąd pożywać chleb dzieci jego. A ziarno dziś jeszcze oddać oraczowi i ziemi, która siewu czeka”.

M. Konopnicka.



118. Dzień zaduszny.

Dzień 2-go listopada był pogodny, lecz smutny. Drzewa stały obnażone z liści; w ogródkach kwiatowych sterczały już tylko zeschnięte łodygi. poza miastem w niewielkim domku sie-

działo dwoje dzieci przy oknie i przypatrywało się gromadom ludzi, idącym ku cmentarzowi. Po izbie krzątała się staruszka.

— Zabierzcie się, dzieci! — zawołała staruszka, pójdziemy na cmentarz pomodlić się na grobie waszych rodziców.

— Dobrze, babuniu, zaraz się zabierzemy — odpowiedzieli dzieci. Niedługo potem staruszka z sierotami wchodziła na cmentarz. W bramie cmentarnej wyjęła kilka groszy i rozdzieliła je między ubogich. Na niektórych grobach paliły się różnokolorowe lampy, a nagrobki były obwieszane wieńcami; na innych grobach płonęły tylko zwykłe świeczki, lecz były i takie groby, na których nie było ani jednego światełka. Ludzie klęczeli na grobach i modlili się, albo śpiewali nabożne pieśni w kaplicy cmentarnej. Staruszka z dziećmi zatrzymała się przy grobie, na którym obok krzyża drewnianego rosła brzoźka. Zapaliła dwie lampki, ustawiła je na grobie, potem uklękła i zaczęła odmawiać półgłosem z dziećmi: „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“ i „Wieczne odpoczywanie“.

Obok był grób otoczony żelaznymi sztachetami, z bardzo pięknym nagrobkiem. Paliło się tam wiele lamp, ustawionych w kształcie krzyża. Przy grobie klęczała jakaś pani czarno ubrana, obok niej mężczyzna. Oboje modlili się, a pani ocierała łzy z oczu. Po chwili powstali: nie odeszli jednakże, lecz spoglądali ze współczuciem na dwie sieroty, które przy sąsiednim grobie powtarzały za staruszką: — Boże Wszechmocny! my, biedne sieroty, prosimy Cię, abyś przyjął do Królestwa Swego dusze naszych rodziców!

Gdy staruszka z dziećmi powstała, pani zbliżyła się i zagadnęła ją temi słowy: — Dobra kobieto, czyje to są dzieci?

— To są sieroty po mojej córce, która już od roku nie żyje. W kilka tygodni po jej śmierci umarł także i zięć mój, a sieroty pozostały na mojej opiece.

— Jakże sobie dajecie radę z ich utrzymaniem? — pytała pani.

— Piorę bieliznę i tem zarabiam na życie dla sierot i dla siebie. Pan Bóg mi pomaga dotychczas; ale czuję, że z każdym dniem coraz trudniej mi pracować, bo siły mnie opuszczają.

— Poczciwa kobieto: — rzekła pani. — Często widywałam was tu na grobie z tymi sierotami i przypatrywałam się im

uważnie, bo one tak bardzo do moich zmarłych dziełek podobne. Mówiłam już z mężem i zgodził się na to, abym te sieroty zabrała do siebie. Jeśli na to przystaniecie, zabiorę was do swego domu; będziemy opiekowali się wami i dziećmi.

Po tych słowach ucałowała pani sieroty, a staruszka tymczasem złożwszy ręce, modliła się: — Dzięki Ci, Boże, żeś ułtował się nad sierotami!

119. Woda.

Woda odgrywa w przyrodzie nadzwyczaj ważną rolę. Wpływa bowiem nietylko na ustrój całej skorupy ziemskiej, ale od niej zawisła jest także, wszelka przemiana materji tak w ciałach martwych jako też żywych. Bez wody nie istniałyby wogóle istoty żywe na ziemi.

Woda przenika nawskroś skorupę ziemską, a zbierając się w niektórych miejscach obficie, tworzy już to podziemne zbiorniki lub źródła, już też na powierzchni obszerne morza, jeziora, stawy, rzeki itd. Ogrzewając wodę w garnku, widzimy, że szybko jej ubywa; to pochodzi stąd, że zamieniając się w parę, ulatnia się w powietrze. To parowanie wody odbywa się także i przy niższej ciepłocie, lecz powolniej. Z całej powierzchni ziemi woda ustawicznie paruje i unosi się w powietrzu jako niewidzialna para, lub też wydziela się z niego jako mgła, obłok lub chmura. Z chmur przepędzanych wiatrem w najodleglejsze strony, opada z czasem woda napowrót na ziemię jako deszcz, śnieg lub grad. Woda opadająca z powietrza jest prawie chemicznie czysta, zawiera tyllko gazy wchłonięte w siebie z powietrza, jak np. tlen, azot, kwas węglowy, ślady amoniaku, kwasu azotowego, tudzież zabrany z powietrza drobniauchny pył ciał stałych, które prądy powietrza uniosły z ziemi w górę.

Woda spadwszy na ziemię spływa w części po jej powierzchni w części wsiąka do jej wnętrza; pewna część zatrzymuje się w porach ziemi; reszta zdąża różnemi drogami do miejsc najgłębszych, przeważnie do morza. Przesiakiając przez ziemię, rozpuszcza woda w sobie różne minerały, które w drodze napotka, nabiera więc różnego smaku. Woda rzek, stawów, jezior zawiera z reguły mało połączeń mineralnych, czyli różnych soli, i dlatego ją nazywamy słodką, woda zaś morska jest słoną

i gorzką, gdyż sole, które woda rzek przyniosła z sobą do morza nie ulatniają się przy wyparowaniu wody, lecz zostają w morzu.

Wodę, która zawiera w sobie połączenia mineralne, zwłaszcza wiele wapna, nazywamy twardą, taką jest zazwyczaj.

120. Jeż i kret.

Podczas ostrej zimy jeż prosił kreta, aby go przyjął do swej jamy, obiecując wdzięczność dogonną. Ulitował się kret nad biedakiem i odstąpił mu skromnego kąca.

Ale zaledwie jeż rozgościł się w jamie, rozpostarł swe kolce i zaczął nimi kłuć kreta tak nielitościwie, że tenże w końcu poprosić go musiał, aby mieszkanie jego opuścić. „Co“ zawołał jeż zuchwale, „mieszkanie to do mnie należy, a komu w niem niewygodnie, niech się coprędzej wynosi.“

Wobec tak niegodziwego wystąpienia jeża, nie pozostało kretowi nic innego, jak tylko z żalem opuścić własne mieszkanie i zostać bez dachu wśród srogiej zimy. „Nieogłędna gościnność często na złe wychodzi!“

121. Gospodarz i wróble.

Stado wróbli, gdy nadeszła zima, przyleciało do wsi z pobliskiej krzewiny i ukryło się w stodole. Gniewał się o to kmiotek skąpy, choć bogaty i narzekał: „Czy kara Boża! jak tylko zima, zaraz natręty do ziarna.“ Lecz temi skargami wróbli z gumna nie wypłoszył. Poszedł więc po rozum do głowy. Nocną porą, gdy wszystko w głębokim śnie było pogrążone, bierze latarnię, skrada się do gumna i uśpione na pół wróble zgarnia z pod strzechy do poły. Ale dawne przysłowie niesie: Łakomy dwa razy traci. Gospodarz pnie się coraz wyżej; wtem upadła mu latarnia i zapaliła słomę. Napróżno chce ogień ugasić, napróżno połami dusi płomień i krzyczy jak szalony; wróble uciekły, a stodoła ze zbożem zgorzała.

122. Do wróbelka.

Mój wróbelku, szare ptaszę,
Ty nie lecisz w kraje inne;
Szczерze kochasz strony nasze,
Ty je wolisz, bo rodzinne.

Ty. ptaszyno, w każdej doli
Losy nasze z nami dzielisz,
Pozostajesz na tej roli,
Świergotaniem nas weselisz.

Tobie wicher, mróz nie szkodzi,
Biedak, z ciebie, gdy jest zima;
Zjadasz ziarno, gdy się zrodzi,
W zimie co bądź, gdy go niema.

Ucz nas, ptaszku ulubiony,
Tem się cieszyć, co Bóg zsyła,
Szczерze kochać piękne strony,
Gdzie kolebka nasza była.

123. Zima.

Zima zaczyna się około połowy grudnia, a czasem i prędzej, trwa przez styczeń, luty i marzec, najczęściej przez 4 miesiące prawie i kończy się na Wielkanoc, czyli Święto Zmartwychwstania Pańskiego.

W zimie dni są najkrótsze, a noce najdłuższe. Woda marznie na dworze, rzeki pokrywają się lodem, śnieg pada często, pola i łąki bieleją od śniegu, mróz ostry dokucza wszelkiemu stworzeniu. Każdy ucieka do domu, nawet robactwo kryje się w ziemi, a ptaszek tuli się pod strzechą. Zima niema wprawdzie tych powabów i przyjemności, jakich dostarczają inne pory roku, ale zato ludzie mogą jeździć sankami, a w domu ogrzać się przy ciepłym kominku lub piecu. Ale dla biednych źle w zimie! Nie mają czym palić w kominie i lichy odziane dziatki nie mają przy czem rozgrzać zziębniętych członków.

Znikły pory ulubione,
Przyszła biała zima,
Drzewa z liści obnażone,
Smutno przed oczyma.

Wszędzie świeży śnieg się bieli,
Pokrył śron ogrody,
Ziemia cała jak w pościeli,
A na rzekach lody.

Ziemia, malka ukochana,
Leży jak nieżywa,
Bo i ona spracowana,
Sobie odpoczywa.

Biała zima nieradosna,
Ziemia śpi wśród ludzi,
Dopóki ją ze snu wiosna,
Znowu nie przebudzi.

Nowosielski.



124. Staruszka.

Zima była niezwykle ostra, morze zamarzło u brzegów i mieszkańcy miasta umyśliли sobie urządzić zabawę na lodzie.

Uprzątnięto plac obszerny, otoczono go chorągiewkami, wprowadzono muzykę, miały być tańce i ślizgawka, wieczorem iluminacja, słowem niezwykła uroczystość.

W małej chatce na wybrzeżu mieszkała uboga staruszka. Mąż jej utonął był dawno podczas burzy, syna straciła także, żyła więc sama jedna w chatce maleńkiej, pochylonej i bardzo starej. Usłyszawszy muzykę i wesołe głosy, usiłowała podnieść się z postania, aby zdaleka chociaż patrzeć na zabawę i cieszyć się weselem innych. — Ale sił jej zabrakło. Biedna, smutna starość! A tam wrzawa i radość, tam ludzie szczęśliwi. Nakoniec słońce zaszło, ukazał się księżyc, ale błady bez blasku. Na lodzie zapalono kolorowe światła, migały cienie, rozlegały się śmiechy, dźwięczne śpiewy, okrzyki, muzyka.

Staruszka z wysileniem usiadła na łóżku i patrzała... patrzała. I ona była niegdyś młoda... i ona się bawiła — jak tamci — szczęśliwi. Wtem spojrzała na niebo. Daleko, daleko, gdzie się brzeg morza o sklepienie niebieskie opiera, płynął biały obłoczek z czarną plamą w pośrodku. Staruszka zapomniała o chorobie, z przerażenia oczy jej rozszerzyły się. Przecież od lat tylu patrzała na niebo i morze!... A obłoczek płynie, płynie coraz większy, a czarna plama.... Nagle zrozumiała wszystko: Zna ona tę chmurę i wie, co ona niesie! Burzę, śmierć. A tamci bawią się wesoło. Całe miasto na lodzie: Starcy, młodzi, dzieci, śmieją się, tańczą, słuchają muzyki, nie wiedząc, co ich czeka. — Jak ich ostrzec?, myśli staruszka, tam nic nie widzą, zresztą zajęci zabawą, nie myślą o nieszczęściu. Gdyby była silną, mogłaby pobiedz, — blisko, — ale... nogi ciężkie, jakby z ołowiu, ręce się trzęsą... Otwiera okno z największym wysiłkiem, próbuje krzyknąć — wrzawa ją zagłusza; buchnął śmiech i okrzyki, zabrzmiała muzyka — a biały obłok płynie coraz większy, i czarna plama... Już zajął pół nieba. Krzyknęła z całej siły, nikt nie słyszy. Za daleko. Co począć? Czyż patrzeć ma na ich zgubę? O Boże, Boże, każda chwila droga, każda chwila śmiercią grozi.

Wtem Bóg natchnął ją myślą szczęśliwą: Podpali chatę, — niech to będzie im znakiem ostrzeżenia, niech będzie krzykiem

trwogi. Cóż znaczy nędzna chata wobec życia tylu ludzi? Nie-miała zresztą staruszka czasu do namysłu... rzuciła spieszenie ogień n'a posłanie i chciała wyjść z izdebki.. Za progiem jednak upadła na ziemię i już powstać nie mogła. Ogarnął ją szum płomieni; niby przez sen widziała ogniste języki, wybiegające z o-kien, skacząc po dachu, we drzwiach, tuż nad nią.

Nagle z nad morza rozległ się krzyk potężny i wszyscy w mgnieniu oka rzucili zabawę, aby spieszyć na pomoc ubogiej staruszce, która mogła się spalić w swojej chatce. A w tejsze chwili zaszumiało morze, lód pękł z łoskotem podobnym do wy-strzału, ziemia i niebo zmieszały się w ciemnościach i burzy... Lecz na łodzi nie było już nikogo. I nikt nie zginął, wszyscy ocalaeli, tylko biedną staruszkę znaleziono martwą, chociaż z u-śmiechniętą twarzą. Widziała ich na ziemi, wszystkich, — ocalo-nych i umarła szczęśliwa.

125. Sosna.

Na wioskowych mogiłach,
 Rosła sosna borowa,
 Pień jej krzepnął na siłach,
 Wybijała jej głowa,
 Pogiętymi konary
 Na sło sążni rozwisa,
 A korzeńmi bez miary,
 Żółty piasek wysysa,
 Z mogił wyrósłszy cała,
 Za te soki, co bierze,
 Wiałrem sobie szumiała,
 Za umarłych pacierze.
 Lecz coś jednej jesieni,
 Biedna sosna borowa
 Coraz mniej się zieleni,
 I pożółkła jej głowa.
 I zosłała na stronie
 Coraz cichsza, milcząca,
 Każdy wielrzyk, co wionie,
 Więcej kolców z niej strąca;

Rzuca w ziemię rodzimą
 Zeschłe szyszki i ziarna,
 W końcu—jeszcze przed zimą
 Ushła sosna cmenlarna.
 Wiałr żalośnie jej pyła:
 — Biedna sośno z mogiły,
 Czyś ty gromem przebiła,
 Czyć robaki słoczyły,
 Czy ci żeru nie było
 W żółtym piasku z pobliska?
 Albo kamień swą bryłą
 Twe korzenie uciska?
 — Och, mnie nie lknął grom
 I robaki nie łoczą, [z burzą
 Ziemia soków ma dużo
 I karmi mnie ochoczo.
 Gdzie kamienie i glazy,
 Szłam z korzeńmi z daleka,
 Wrosłam — gorzej sło razy—
 W serce złego człowieka.

Ludwik Kondratowicz.

126. Wrona miejska.

Raz miejska wrona, wpadłszy między wiejskie ptaki,
By, dać poznać słuchaczom, godności jest jakiej,
Poczęła rozpowiadać, jak ona w Warszawie,
Po wszystkich pierwszych domach codzień lata prawie.
Jak po Saskim Ogrodzie przechadzki używa,
Jak nieraz w Wilanowie.... Wtem kruk, co tam siedział,
Znudzony tą rozmową, tak do niej powiedział:
„Przestań, jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona“
„Cóż stąd, że wszędzie bywasz, kiedyś zawsze wrona“.

127. Pamiętaj, abys dzień święty święcił.

W pewnem miasteczku, w nędznej chacie na przedmieściu, mieszkał szewc, nazwiskiem Skuba. Pracowity był bardzo, ale w tem błdził, że nawet w niedzielę często do samego południa wykończył robotę. Stąd i w kościele bywał mało kiedy. Pan Bóg włożył na nas obowiązek pracy; ale nakazał także, żeby dzień święty święcić. To też Bóg nie błogosławi pracy tych, którzy gwałcą Jego przykazanie. Tak było i ze Skubą: mimo jego pracowitości, bieda się do chaty cisnęła drzwiami i oknami. Nie miał szewc za co kupić materiału, stracił kredyt i do roboty dostawał same naprawki.

Pewnej niedzieli siedzi sobie Skuba tak zajęty robotą, że nie słyszy nawet głosu dzwonu, wołającego na sumę. W tem zapukał ktoś do okna. Był to stary Mateusz, najbliższy sąsiad Skuby, zamożny rolnik. — Rzućcież robotę, spieszcie się, pójdziemy razem na sumę! — rzekł do Skuby, otworzywszy okno. — Ej! co to za robota -- odrzekł Skuba, zawstydzony trochę — wykończam tylko zaczęte wczoraj naprawki. Trzeba na jutro o chlebie pomyśleć. — Dalibyście spokój tej obrazie Boskiej — rzekł na to Mateusz. — Jeśli wam na poniedziałek na chleb zabraknie, gotów jestem wynagrodzić wam zawsze stratę, jakabyście mieli przez to, że niedziele i święta, jak Bóg przykazał, święcić będziecie. Chodźcież teraz do kościoła! I poszli. Po sumie, której Skuba z wielkiem nabożeństwem wysłuchał, spotkał go jeden z mieszczan. — Dobrze, że was spotykam, panie Skuba, — rzecze do niego — potrzebuję butów dla parobka i chciałem iść właśnie do którego z szewców w mieście. Oszczędzę sobie

drogi — dodał — i po krótkim targu dał zadatek. Gdy w poniedziałek Skuba poszedł do sklepu po materiał na buty, spotkał tam innego obywatela z przedmieścia, który kupował sobie skórę na obuwie. Skuba pomógł mu wybrać skórę, a znajomy rzekł: Pomogliście kupić, to weźcie i do roboty! — Dobry to był dzień wczoraj! — pomyślał sobie Skuba i Panu Bogu w duchu podziękował.

Następnej niedzieli nie potrzebował już stary Mateusz wywoływać Skuby na sumę, bo tenże czekał nań na progu swej chaty! — Niechaj będzie pochwalony! Na wieki wieków! — No i cóż? Dużo wam, panie majstrze, ubyło zarobku przez to, żeście tamtej niedzieli roboty nie dokończyli? — pyta Mateusz. — Ale gdzie tam! Tak dobry tydzień miałem, jakiego dawno już nie pamiętam — rzekł Skuba — Ot, dziękuję wam, panie Mateuszu, żeście mnie oduczyli nieszanowania dnia Bożego. Kto z Bogiem Bóg z nim.



128. Choinka.

Zmierzch zapadł nad wielką równiną. Pokrył ją śnieg rozmiękły, mokry, wydeptany. Mróz zwolnił, a biel śniegu, mieszając się z błotem, utworzyła brudną, grząską masę. Z trudem

wlokła się po drodze matka z dwojgiem dzieci. Szli od miasta ku fabryce, obok której mieszkali w kolonji robotniczej. Matka zakupiła była w mieście na Wigilję trochę nieodzownych rzeczy; ojciec pracował jeszcze w fabryce. Już nadchodzi wieczór wigilijny, a fabryczne maszyny huczą jeszcze. — Czy tych maszyn wcale nie zatrzymają na święta — zapytał Julek.

— Zatrzymają, zatrzymają, — uspokaja matka, — widzisz, już w przędzalni ognie gasną; chodźmy prędzej, ojciec wnet wróci.

— A drzewko będzie, mamusiu?

— Nie, dzieciно; wiesz, że ojciec był długo chory; bieda, dzieciно, bieda!

Julek westchnął. Gdy tylko pierwszy śnieg się pojawił, począł Julek marzyć o drzewku wigilijnem. Ojciec chorował długo. Nieraz, siedząc przy łóżku ojca, myślał Julek o wieczorze wigilijnym, o tej pięknej chwili, gdy po skończonej wieszce ojciec weźmie zapalki i powie: — No, dzieciaki, teraz zaświecimy drzewko. — Cudna to chwila! Niewielka choinka na ławeczce ustawiona, świeci cała od dołu do góry. A pod drzewkiem różne dary: buty dla Julka i ciepłe rękawice dla Małgosi! Rączyny tak jej marzną, gdy rano idzie do szkoły! Dzieci klaszczą w dłonie i podskakują wesoło. A wtedy ojciec siada przy stole, otwiera stary śpiewnik i poczyną śpiewać:

W dzień Bożego Narodzenia,
Radość wszelkiego stworzenia...

Ach, gdzież ta radość? Oto idzie Julek przy matce drogą pustą i zasłaną grubym śniegiem. W oddali widać miasto. Pełne dziś ono wrzawy, ruchu, radości. Rodzice biegają po sprawunki, dzieci oczekują niecierpliwie Wilji. Wszędzie jasno, wszędzie radość, wszędzie śpiew. A tutaj?... Ach, jakie on cuda widział w mieście! W oknie stała olbrzymia choinka pełna świateł, bogactw nieprzebranych i łakoci... Julek patrzył długo na drzewko. Na szczycie jego był anioł z papieru, który spoglądał żałośnie a słodko, jak gdyby chciał powiedzieć: — Żał mi cię, Julku, żał... byłeś grzeczny, pilny, dobry...

Julek na to wspomnienie obrócił się w stronę miasta. Aa, co to? O kilka kroków rośnie kępa małych sosenek. Gdy ją minął przed chwilą, były smutne, oblepione śniegiem, ale teraz świecą, świecą coraz mocniej.

Co to jest? Julek patrzy i oczom nie wierzy. Czyżby dobry anioł ulitował się nad żalością jego? Sosenki świecą od dołu do szczytu. Na każdej gałązce kolorowa świeczka, u każdej gałązki wiszą złoczone orzechy, rumiane jabłka i figi, festony z kolorowej bibułki i świecących jak złoto nitek czepiają się gałęzi, otaczają całe drzewko, na którym gwiazdy wielkie złote błyszczą.

A tam w dole, pod jednym z drzewek buty nowiuteńkie i rękawice... Chłopak stoi oczarowany. Cud!... Czyżby anioł, wysłuchał niemej prośby chłopca?

— Julek! a chodźże! — woła matka.

Chłopiec otrząsa się. Zjawisko znika. Ach, to tylko było marzenie.

Z „Latarenki“.

129. Szanuj starszych.

O, młodzieży, młodzieży!
Cześć się starszym należy;
Wszak z Boskiego zarządzenia.
Młody w starca się zamienia.

Czas nieznacznie uchodzi;
Oddadzą wam to młodzi.
Kto szanuje starszego,
Dozna potem sam tego.

Gdy zobaczysz włos siwy,
Daj mu pokłon uczciwy! —
Tak mawiali Ojcowie,
Że aż poszło w przysłowie.

Dziś słuchają prawniki
Wielkiej, świętej nauki.
Sławni z tego Słowianie.
Na wieki to zostanie.

130. Leszek Biały i Goworek.

Po śmierci Mieczysława Starego Polacy jednomyślnie chcieli mieć monarchą Leszka, syna Kaźmierza Sprawiedliwego, ale pod warunkiem, że oddali od siebie nauczyciela Goworka. Lecz młody książę pomyślał: „Miałbyby dobry i zasłużony człowiek być wygnany i zelżony niewinnie?“ Goworek przystąpił do Leszka i rzekł: „Dla mnie jednego Panie mój, nie opuszczaj królestwa, masz do niego większe prawo, niż inni. Mnie Bóg nie opuści na wygnaniu. Czyliż wiele potrzeba staremu, który lada dzień umrzeć może?“

Ta życzliwość jeszcze bardziej wzruszyła Leszka, nie chciał odstąpić Goworka, starego sługi i przyjaciela i wołał się zrzec

królestwa. Obrano tedy Władysława Laskonogiego, stryjecznego brata Leszka, lecz po rychłej śmierci tegoż króla, Leszek wstąpił na tron polski i rządził sprawiedliwie, kochany i czczony przez naród cały.

131. Cesarz Otton III w Gnieźnie.

Współcześnie z Bolesławem Chrobrym panował w Niemczech cesarz Otton III. Pobożny ten monarcha zapragnął odwiedzić słynący cudami grób świętego Wojciecha, chciał też zaprzyjaźnić się z Bolesławem, o którego waleczności i potęgę słyszał był wiele. Chociaż więc w owych czasach podróże były bardzo uciążliwe, wybrał się cesarz do Gniezna. Bolesław Chrobry, chcąc okazać cześć tak znacznemu gościowi, wyjechał o milę za Gniezno naprzeciw Ottona i to z licznym orszakiem panów i rycerzy. Niemcy uważali dotąd Polaków za naród napół dziki, zdziwili się przeto bardzo, widząc wspaniałe stroje i świetne zbroje królewskiego orszaku. Cesarz oświadczył, że dla okazania czci świętemu Wojciechowi resztę drogi do jego grobu odbędzie pieszo. Wtedy Bolesław kazał drogę suknem wyścielić. Następnie przez trzy dni dawał ucztę na cześć cesarza. Stoły uginaty się pod ciężarem srebrnych i złotych naczyń, a król polski po każdej uczcie kazał owe naczynia odnosić do cesarskiego skarbcza lub rozdawał na pamiątkę cesarskim dworzanom. Cesarz ujęty taką gościnnością, nazwał Bolesława podczas ostatniej uczty swym najlepszym przyjacielem i na znak tego włożył mu na głowę koronę. Po trzech dniach opuścił Otton Gniezno, lecz przyjaźń dla Bolesława zachował aż do śmierci.

132. Biedny krawiec.

Za czasów króla Jana III. mieszkał w Warszawie na Nowem Mieście poczciwy i pracowity krawiec Adamczyk, który miał dwadzieścioro dzieci żyjących. W czasie wiedeńskiej wyprawy popadł on był w nędzę, bo zabrakło mu roboty. Syn jego starszy służył w rocie huzarów królewicza Jakóba, odznaczył się męstwem i znalazł sposobność, by opowiedzieć królowi o biedzie rodziców. Król Sobieski zamyślił się nieco, potem rzekł do młodzieńca: Za powrotem do Warszawy ukażę się w ferezyji, zdobytej w



Król Jan Sobieski
sadzi drzewa w Wilanowie pod Warszawą.

namiecie wielkiego wezyra; niech twój ojciec takich ferezyj u-szyje dużo, a sprzeda je z korzyścią.“ I tak się stało. Sobieski wrócił jako zwycięzca do Warszawy i ukazał się w ferezyji tu-reckiej. Krawiec dostał u kupców sukna na kredyt, narobił su-kien podobnych do królewskiej, a panowie tak je chętnie kupo-wali, że krawiec nastarczył ich nie mógł.

Wkrótce stał się zamożnym rzemieślnikiem, kupił sobie dom, córki wyposażył, a synowie powychodzili na poczciwych i pra-cowitych rzemieślników:

Boga wzywaj, a rąk przykładaj!

133. Sen Leszka Czarneho.

Kiedy po śmierci Bolesława Wstydliwego na tronie polskim zasiadł Leszek Czarny, najstraszniejszym wrogiem Polski po Ta-tarach byli Jadzwingowie, naród pogański, który mieszkał w w okolicach Podlasia, dzisiejszej ziemi Siedleckiej.

Raz w ogromnej ilości napadli oni na ziemię Lubelską. Dzicy na-jeźdźcy palili kościoły, mordowali kapłanów i dzieci, niszczyli i burzyli chaty i pałace, a ludność dorosłą zabierali w niewolę wraz z całym dobytkiem. Po ich przejściu nie pozostawało nietylko zgłiszcza, bo za ludźmi zabranymi dążyły i psy ich.

Na wieść o tak strasznym nieszczęściu Leszek, który pod-ówczas sprawował sądy w Krakowie, zebrał całe rycerstwo i po-śpieszył ku Lublinowi. Nie zastał tam jednak nieprzyjaciół, gdyż obciążeni łupem, ciągnęli już dalej. Trzeba ich było ścigać, a tu rycerstwo znużone, niechętnie było dalszej wyprawie. Trwo-ga rapemniła mężne serce Leszka.

W tej trudnej chwili Bóg sam przyszedł mu w pomoc. Gdy książe, znużony trudami podróży; pokrzepiał się snem w cieniu rozłożystego dębu, śniło mu się, jakoby ukazał mu się św. Michał Archanioł i tak do niego przemówił:

„Idź śmiało, uderz na nieprzyjaciela, a zwyciężysz“.

Wzruszony tem widzeniem, zbudził się Leszek, a przyzwawszy do siebie duchownych i stałą starszyzną wojskową, opowiedział im swój sen cudowny, poczem w te odezwał się słowa:

„Bracia, tu w obecności waszej składam ślub uroczysty, że, jeżeli mi Bóg dopomoże do odniesienia zwycięstwa nad poga-

nami, wystawię kościół na tem miejscu, gdzie mi się św. Michał Archanioł objawił“.

Zapał i męstwo króla udzieliło się całemu rycerstwu i za-
grzało do walki z nieprzyjaciółmi. Rzucił się na nich Leszek
ze swem wojskiem, a niespodziane natarcie Polaków wprawiło
odrazu w popłoch dzicz całą.

Na pierchających rzucili się również uwolnieni z więzów
jeńcy; co więcej, podanie mówi, że nawet psy owe, które towa-
rzyszyły jeńcom, przyczyniły się do zwycięstwa, kłasnając wrogów.

Skoro tylko Leszek wrócił ze szczęśliwej wyprawy, zbudo-
wał w Lublinie kościół, pod nazwą św. Michała, a potem Starej
Fary był długo ozdobą miasta, dopóki go nie rozebrano w po-
łowie XIX. wieku. Wspaniała ta świątynia dalekim pokoleniom
podawała pamięć łask Bożych, zachęcając do ufności w Opatrzność,
bezustannie nad nami czuwającą.

134. Mazur.

Z pieśni Janusza.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemala!
Wiele krain, wiele cudów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmiłsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzie takie cudne stroje?
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi,
Niechaj cała Polska powie.

Po za Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga.
Góral zbytnio podkasaly,
A w Odratki lud zniemczaly,
A więc nasza, nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazurą!

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze.
Przyśpiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie,
Ale kto, jak Mazur właśnie
Wioząc z konia biczem trzaśnie?
Kiedy jedzie do Warszagi,
Mówią wszyscy: „Mazur tęgi“.

Tęgi Mazur wej w pokój!
Lecz się przyda i do boju.
I Bóg, żeby świat dziś stworzył;
Już z Mazurów by go złożył.
Nawet w tańcu nasza góra,
Niema w świecie nad Mazura.

135. Z życia Kościuszki.

Uwolniony z więzienia rosyjskiego, postanowił Kościuszko udać się do Ameryki, w której niegdyś, za nadzwyczaj mężną obronę wolności ludu, uzyskał był godność generała. Nie mogąc znaleźć przytułku we własnej ojczyźnie, udał się do tej ziemi, którą uważał za ojczyznę przybraną swoją, a która czcila w nim zawsze jednego z największych bohaterów.

Kiedy po długiej i niebezpiecznej podróży przybył Kościuszko nareszcie do miasta Filadelfji, lud tamtejszy, uprzedzony o jego przybyciu, wyprzągł konie z jego powozu i wśród wesółych okrzyków, jakby w tryumfie, sam go zawiózł do miasta. Tutaj, na wolnej ziemi amerykańskiej, pośród dawnych przyjaciół, bohater nasz odzyskał powoli zdrowie i siły, szukając w pracy pociechy i ulgi dla zboląłego serca.

Pewnego razu, kiedy zajęty był pracą w swym pokoju, wszedł młody jakiś rotmistrz, który nic nie mówiąc, począł ze łzami całować go po rękach.

„Dla Boga, kto pan jesteś?“ zawołał zdziwiony Kościuszko.

„Alboż nie przypominasz sobie generale, małego Ezechiela, który Twojej łasce zawdzięcza, że dziś jest człowiekiem?”

Jakby przez sen przypominał sobie teraz Kościuszko zdarzenie z czasu pierwszego swego pobytu w Ameryce. Do głównej kwatery Waszyngtona, u którego wtenczas pełnił służbę adjutanta, przecisnął się raz młody chłopczyna, ubrany w wojskowy mundur, żądając, aby mógł mówić z wodzem naczelnym. Kościuszko



przywołał go łagodnie do siebie i zapytał, jak się nazywa i czego żąda.

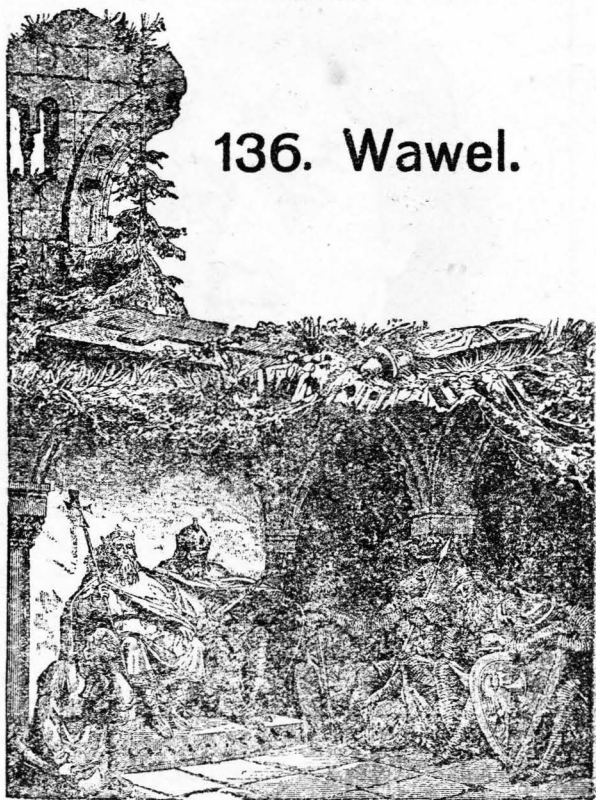
„Nazywam się Ezechiel“, odpowiedział chłopczyna odważnie. „Mój ojciec był kanonierem i zginął w bitwie; matka służyła w lazarecie wojskowym i także już umarła. Sam zostawszy, przychodzę prosić wodza, aby mnie przyjął do wojska i kazał

mi dawać żołd prostego żołnierza, dopóki nie wyrosnę i nie pomiszczę śmierci ojca“.

Wzruszony temi słowy Kościuszko obdarzył chłopca dolarem i zaprowadził go do wodza, mówiąc: „Jeżeli Ameryka tak dzielna ma dzieci, niepotrzebuje się zaiste lękać o swą niepodległość!“

Odtąd zajął się Kościuszko losem i wychowaniem dzielnego chłopca, który zdobywał sobie coraz wyższe stopnie wojskowe, aż wreszcie został rotmistrzem.

On to obecnie, dowiedziawszy się o powrocie swego dobroczyńcy, pospieszył, aby mu wynurzyć swą wdzięczność.



Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
Siwą głowę schylił, z myślami się biedzi.
▲ wież jego siedem, jak siedem boleści,
Za dziećmi, co w świecie przepadły bez wieści!

A mur, co mu biodra wkoło opasywał,
Jak suknię z rozpacz, z bólu porozrywał.
I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
„Dzieci moje, dzieci! gdzieście polecieci?
Gdzieście polecieci, czy szukać oczyma?”
I bez końca jęczy, — a ich niema — niema!...
Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Swoich wodzów groby uściskiem powitaj.
Powitaj uściskiem, w oczy spojrzysz śmiało,
Bo tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało.
Oni świata przegrażali, i dziś, chociaż w trumnie,
Chociaż okiem marmurowem — poglądają dumnie;
A na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich wzdycha, drży występny, przykłęka wędrowiec.

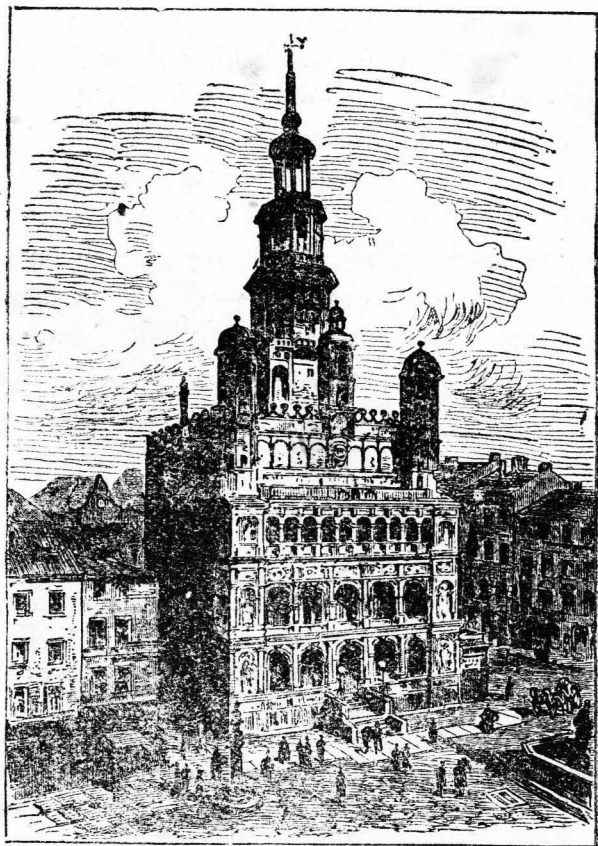
Edmund Wasilewski.

137. Pierwotny Poznań.

Stołecznem miastem Wielkopolski jest Poznań, nad Wartą. Kroniki podają, że w tem miejscu poznało się niegdyś trzech braci: Lech, Czech i Rus, którzy się dawno byli nie widzieli i o sobie prawie zapomnieli. Na pamiątkę radosnego spotkania założyli Poznań; jest to więc bardzo stare miasto.

Pierwotny Poznań leżał po prawym brzegu rzeki, tam gdzie dziś przedmieście Zagórze, Śródka i Zawady, gdzie kościół Reformatorów i Filipinów, i w tej stronie, gdzie droga do Swarzędza prowadzi. Takim był Poznań po Mieczysławie jeszcze 200 lat przeszło, a był widocznie ludny i zamożny, skoro za czasów Bolesława Chrobrego stawił wojska ciężko uzbrojonego trzy tysiące, a lekkiego cztery. Wznosiły się tu kościoły, mieszkanie biskupa, zamek książęcy. Miasto było obwarowane, lecz z drugiej strony kończyło się ono już tam, gdzie dzisiejsza Katedra poznańska stoi. Na łąki, gdzie dziś Chwaliszewo, pastuchy wyganiaли wówczas bydło.

Dopiero Przemysław I, książę wielkopolski, założył drugą część Poznania po lewym brzegu Warty. Ten nowszy Poznań miał tworzyć ze starym jedno miasto, ale w rzeczy samej były to dwa miasta, boć przecież od starego Poznania aż do dzisiejszej Warty nie było jeszcze wtenczas Chwaliszewa, a nowe miasto zaczynało się daleko za rzeką w tem miejscu, gdzie dziś kościół



Ratusz w Poznaniu.

Dominikański. Każde też z tych miast miało osobny swój zarząd. Ale mieszkańcy obu tych miast, budując ciągle, coraz więcej zbliżali się ku sobie, aż nareszcie za króla Władysława Warneńczyka wybudował Andrzej z Bnina, biskup poznański, całe Chwaliszewo jako trzecią część miasta, która połączyła ze sobą dwie dawniejsze.

Naokoło miasta były przedmieścia; kilku z nich ślady zaginęły. Tak około św. Jana, przy drodze do Swarzędzia istniało przedmieście św. Jana, które Szwedzi zniszczyli. Za kościołem Dominikańskim było przedmieście Grochowe Łąki, gdzie teraz są Małe Garbary. Za Farą koło Ciemnej Bramki istniało przedmieście Gąski. To miejsce, gdzie dziś aleje i plac Wilhelmski nazywano Muszą Górą.



Tum poznański

Tak więc Poznania po prawej stronie ubyło, po lewej zaś przybyło.

Do najpiękniejszych kościołów poznańskich należy katedra, lecz dzisiejsza nie jest tą, którą Mieczysław postawił, lecz trzecią z kolei, ponieważ dwie pierwsze zgorzały.

Za najstarsze kościoły poznańskie poczytywać należy kościół św. Jana i św. Małgorzaty na Śródcie.

138. Paweł Cholewa.

Za czasów Bolesława Śmiałego, 800 lat temu z górą, żył Paweł Cholewa.

Nieprzyjaciel wpadł do kraju i wyrządził wiele szkody. Więc król Bolesław zebrał rychło wojsko, złożone z dzielnych rycerzy i puścił się za nim w pogoń.

Dowiedziawszy się o pogoni, wróg umykał co tchu w lasy, któremi cała Polska wówczas była pokryta i dopadł ich niebawem.

Bolesław wiedział, którędy wróg uchodzi, więc puścił się za nim, ale skoro doszedł do owej puszczy, widząc straszną gęstwinę, rzekł zasmucony do swoich rycerzy:

„Będziemy musieli przedzierać się przez te gąszcze, a tymczasem nieprzyjaciel nam ujdzie“.

I zapuścił się król w lasy, a wojsko dążyło za nim. Ale las stawał się coraz gęstszy, i nie można było znaleźć żadnej drogi, i wojsko szło bardzo wolno.

Trzeba nam będzie wrócić, szukać innej drogi“, odzywa się ktoś ze starszyny; nie przejdziemy tędy, i wróg tu uciekać nie mógł, szkoda czasu“.

„Czy słyszyście?“ mówił król, ktoś drzewa rąbie w lesie!“ I spał natychmiast konia i sam poskoczył w tę stronę, z której słychać było odgłos siekiery.

„Hej, człowieku!“ zawołał król, „ktoś ty taki?“

Poznał chłop króla po złocistej zbroi, a zdjawszy czapkę, rzecze:

„Jam biedny cieśla, miłościwy królu, a zowię się Paweł Cholewa“.

„Czy dawno tu drzewo rąbiesz?“

„Od samego świtu, miłościwy królu“, odpowie Paweł.

„A nie wiesz, którą drogą poszedł nieprzyjaciel?“

„Juści wiem dobrze, miłościwy królu, skrył się tu niecnota na kępie za lasem“.

A król aż podskoczył na koniu z radości, i zbroja na nim zachrzęściła.

„A czy potrafisz zaprowadzić nas na tę kępę najkrótszą drogą?“ pyta król.

„Jest tu ukryta ścieżka, będzie ich można dopaść zaraz i po-
bić“, odpowie Paweł.

„Prowadź człowieku, a jeżeli doprowadzisz, nie będziesz
więcej pracował w lesie siekierą“.

Skłonił się Cholewa i puścił naprzód, a całe wojsko z kró-
lem posuwało się za nim cichuteńko i ostrożnie.

W godzinę może potem było już widać przez rzadsze drze-
wa okrutną czerń wroga, który się na kępie rozłożył obozem.

„Boga Rodzico!“ zawołał król ogieńcie i ruszył z kopyta,
a za nim całe wojsko wpadło na nieprzyjaciela.

Wśród bitwy chłop okrutny zakrada się z tyłu na króla, i już
miał ciężką szablą ugodzić go w głowę, gdy podskoczył Paweł
Cholewa, położył trupem wroga i królowi życie ocalił.

W miesiąc potem wraca zwycięzki król do stolicy, ale któż
to obok niego jedzie w złocistej zbroi i kosztownych szatach?
Nie hetman to, ani żaden wojewoda, ale chłop, Paweł Cholewa.
Zaraz po bitwie zrobił go Bolesław rycerzem i wielkim panem,
bo wszystek las i całą ziemię, którą wojsko na nieprzyjaciela
prowadził, darował mu na wieczne czasy.

Z „Kmiotka“.

139. Książ Konstanty Ostrogski.

Dobrze się w Polsce działo za panowania Jagiellonów, a mia-
nowicie za rządów Zygmunta I, zwanego Starym, i za jego
syna Zygmunta Augusta. Czasy te Zyguntowskie nazywają też
złotymi czasami. Kraj był zamożny. Wisłą płynęły do Gdańska
statki z polskiem zbożem, drzewem i innymi płodami. Z Gdańska
rozsyłano je w dalekie kraje, które wzamian przysyłały nam
swoje płody lub płaciły złotem. Zakładano u nas coraz więcej
szkół, drukowano coraz więcej książek, a ludzie garnęli się do
nauki. Ale i w tych złotych czasach Polacy musieli prowadzić
liczne wojny i bronić się od napaści niespokojnych sąsiadów.
Bóg jednak zsyłał Polsce wielkich wodzów, którzy dzielnie gro-
mili nieprzyjaciół.

Za Zygmunta I wybuchła wojna z Moskwą. W wojnie tej
odznaczył się jako dowódca wojsk królewskich najbardziej książ
Konstanty z Ostroga, potomek dawnych książąt ruskich.

Był on wzrostu małego, ale bardzo odważny. Gdy raz na
czele garstki rycerzy uderzył na całe wojsko moskiewskie

i w bitwie daleko się od swoich był zapędził, popadł w niewolę. Car chciał nakłonić wielkiego wojownika, aby został wodzem wojsk rosyjskich. Lecz ni ponętne obietnice, ni prośby, ni groźby nie skłoniły kniazia Ostrogskiego do złamania wierności królowi i Ojczyźnie.

Udało mu się wreszcie uciec z niewoli i odtąd walczył całe życie z Moskwą. Wygrał 33 bitew. Najślawniejsze zwycięstwo odniósł pod Orszą, nad rzeką Dnieprem. Z garstką dzielnych żołnierzy pobił tam ogromne wojsko. Prawie połowa nieprzyjaciół poległa na polu bitwy, a wódz naczelny i wielu bojarów dostało się do niewoli.

140. Dzwon króla Zygmunta.

Dzisiejsza Rumunja nazywała się niegdyś Mołdawją czyli Wołoszczyzną. Gospodarowie czyli książęta włoscy byli przez jakiś czas hołdownikami Polski.

Jeden z tych gospodarów, Petryłło, nie chciał królowi Zygmunтови I. złożyć należnego hołdu, a nawet wpadł z wielkiem wojskiem do Polski, by zagarnąć Pokucie. Król wystął przeciw niemu hetmana Jana Tarnowskiego. Niedaleko Kołomyi, pod Obertynem, zastąpił dzielny hetman drogę najeźdźnikowi. Ponieważ Wołosi mieli trzykroć więcej wojska, przeto hetman bronił się zrazu w taborze. Kazał okopać obóz i łańcuchami pospinać wozy, z poza których odpierał rżęsisłym ogniem przez kilka godzin szturm Wołochów. Potem, wypuściwszy jazdę przez bramy obozowe, rozgromił wojsko nieprzyjacielskie i zabrał cały obóz wołoski, a z nim wiele armat.

Gdy hetman wjeżdżał w tryumfie do Krakowa, król wyszedł mu naprzeciw z całym dworem, aby uczcić zasługi hetmana.

Z dział zdobytych na wrogach Polski kazał Zygmunt ułać ogromny dzwon, który od imienia królewskiego „Zygmuntem“ nazwano. Dzwon wisi do dziś dnia na wieży katedry Wawelskiej. Dźwięk jego bardzo donośny, brzmiał w chwilach tryumfu i wesela, lecz także w dniach trwogi i smutku.

Z pomocą Bożą niebawem też Zygmunt zadzwoni, głosząc narodowi polskiemu odzyskanie wolności i zjednoczenia ziem rozdartych.

141. Król Stefan Batory w szkole.

Król Stefan Batory był nie tylko dzielnym wojownikiem, ale dbał także o oświatę. W tym celu zwiedzał często szkoły, a młodzież zachęcał do pracy i pilności. Gdy raz pewnego był w szkole wileńskiej, nauczyciel wskazał mu jako najpilniejszego pewnego chłopczyka. Król z zajęciem spoglądał na niego, a potem oparł rękę na jego ramieniu i zapytał: „Jak się nazywasz, chłopcze?“ „Karol Chodkiewicz,“ odpowiedział niezmiśnany uczeń. „Ucz się,“ rzekł król, „bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem.“ Chodkiewicz ucałował ze czcią podaną mu przez króla rękę.

Młody Chodkiewicz posłuchał rady królewskiej i uczył się pilnie, a po skończeniu szkół wstąpił do służby wojskowej. Wkrótce osiągnął największą godność wojskową w Polsce, został hetmanem. W obronie ojczyzny odniósł niejedno świetne zwycięstwo, lecz najbardziej wsławił się bitwą pod Kirchholmem, w której w 4000 wojska polskiego pobił 14000 Szwedów.

Nie doczekał się już tego król Stefan Batory, umarł bowiem po dziesięcioletnim panowaniu. Karol Chodkiewicz służył ojczyźnie już za jego następcy, którym był Zygmunt III, Waza.

142. Piękny przykład miłości Ojczyzny Kaspra Karlińskiego

Maksymiljan, arcyksiążę austriacki, wpadł z wojskiem do Polski, by gwałtem pozyskać koronę polską. Austriacy zbliżyli się pod warowny zamek Olsztyn, położony między Krakowem a Częstochową, a którego dowódcą był Kasper Karliński. Utracił on już siedmiu synów w obronie ojczyzny. Austriacy wezwali Karlińskiego, aby poddał zamek; a gdy tego uczynić nie chciał, przypuścili szturm. Odparci odeszli, lecz w pobliskiej wiosce wpadła im w ręce piastunka z najmłodszym, jedynym już dzieckiem Karlińskiego. Cóż robią Niemcy? Oto wpadają na niegodziwy pomysł, aby postawić przed wojskiem piastunkę z dzieckiem w nadziei, że ojciec nie każe strzelać do ostatniego syna. Załoga poznawszy, że przed wojskiem austriackim postawiono syna dowódcy, nie chciała strzelać, pomimo rozkazu Karlińskiego.

Austrjacy byli teraz pewni, że posiędą zamek bez krwi rozlewu, szli więc śmiało naprzód. Aliści Karliński chwytą za lont zapalony i mówiąc: „Pierwej byłem Polakiem, aniżeli ojcem,” podpala działo. Zginęło dziecko, ostatnia pociecha strapionego rodzica, ale Niemcy zostali odparci. Otóż to piękny i naśladowania godny przykład miłości Ojczyzny! Imię Karlińskiego wspomina też każdy Polak z wdzięcznością.

143. Obrona Trębowlu.

Roku 1675-go oblegli Turcy zamek Trębowlę i przypuścili cztery straszne szturmy. Polacy odparli je, lecz nareszcie, gdy głód i choroby dokuczały im coraz bardziej, chcieli się poddać Turkom. Dowodził załogą Samuel Chrzanowski. Zebrali się panowie, aby radzić nad poddaniem twierdzy. — Dowiedziała się o tem Zofja Chrzanowska, dzielna żona Samuela. Uzbrojona we dwa pugiwały, stanęła między dowódcami, mówiąc: „Małżonku drogi, jeżeli poddasz zamek, wtedy tym oto sztylętem ciebie przebiję, a ten drugi we własnem utopię łonie. Na miłość Boga, Ojczyzny i wiarę małżeńską zaklinam ciebie, uszanuj wiek sędziwy, spędzony na usługach kraju, a zostaw dzieciom twoim niezhańbione imię“.

Słowa dzielnej niewiasty poruszyły do głębi serca wszystkich. Zawstydzeni, że słaba kobieta więcej okazuje odwagi, przysięgli, że raczej w gruzach zamku się zagrzebią, lecz nie poddadzą się Turkom. Rzucono się do naprawy murów. Chrzanowska wszędzie była czynną, a nawet przywdziawszy zbroję, urządziła w nocy wycieczkę na czele ochotników. Udało się jej pochwycić kilku jeńców. Obleżeni znosili dalej wytrwale głód i trudy, broniąc się do upadłego. Niebawem nadciągnął król Jan z odsieczą i odpędził Turków.

144. Habdank.

Za czasów Bolesława Krzywoustego najechał Polskę cesarz niemiecki Henryk. Gdy wojska uderzyć już miały na siebie, pomyślał Bolesław, że byłoby lepiej nie przelewać krwi ludzkiej i pogodzić się z cesarzem. Przywołał więc jednego z rycerzy, nazwiskiem Skarbek i rzekł: „Idź do cesarza niemieckiego i po-

wiedz mu, iż grzechem jest bez przyczyny pustoszyć kraj i przelewać krew rycerzy. Ja się jego wojska nie lękam, ale wolę pokój, niż wojnę. Niech ustąpi, a będzie miał pokój“.

Skarbek pospieszył do cesarza niemieckiego i powtórzył słowa swego pana. Ale cesarz spojrzał dumnie na posła i odparł:

„Nie chce twój pan przystać na moje żądanie, więc niema pokoju. Gdy was pobiję, będziecie mnie słuchali“.

„Wszystko jest w ręku Boga“, odrzekł Skarbek, „tak wam, jak i nam może On dać zwycięstwo“.

Na te słowa kazał cesarz otworzyć wielką skrzynię, w której było pełno złota i kosztowności. Wskazując na nie, rzekł do polskiego posła: „Patrz! mam ja za co utrzymać żołnierzy, będę więc póty wiódł wojnę, póki nie pobiję twego pana!“ Słyszając to Skarbek, zdjął złoty pierścień z palca, rzucił go do skrzyni i zawołał: „Idź złoto do złota! My, Polacy, więcej się kochamy w ostrem żelazie“.

Cesarz odpowiedział na to po niemiecku: „Hab Dank“, to znaczy dziękuję. Skarbek wrócił do Bolesława i opowiedział mu wszystko.

Trwała tedy wojna dalej. Ale pokazało się, że żelazo lepsze od złota, gdyż Henryk utracił większą część swego wojska i musiał ustąpić.

Na pamiątkę rozmowy między polskim posłem a cesarzem, nadał król całej rodzinie Skarbków przydomek Habdank.

145. Góra św. Bronisławy.

W zachodniej stronie Krakowa wznosi się góra św. Bronisławy. Na zachód, północ i północny zachód od niej widzimy podobne do niej wzgórza, pokryte częściowo lasami. Wzgórza te obejmują cały niemal powiat krakowski i chrzanowski. Wypływa z nich kilka rzeczułek, wpadających do Wisły. Wśród nich ścielą się urodzajne doliny. Tu i owdzie sterczą zamki lub zwaliska, jak n. p. ruiny zamku Tenczyńskich koło Krzeszowic.

W niektórych miejscach znajdują się piękne marmury, używane do ozdobnych budowli, na ołtarze, gzymsy, oddrzewia, słupy i pomniki. Wywożą stąd także w dalekie strony inny kamień, zwany porfirem. Ponieważ jest bardzo twardy, przeto robią

z niego kostki do brukowania ulic miejskich. W Porębie jest glina, z której można wyrabiać tak zwane kamionkowe naczynia. Jest tam też szkoła garncarska.

W sąsiednich okolicach są skaliste wzgórza, mianowicie w pobliżu Ojcowa.

146. Jurata, królowa Bałtyku.

Dawno, już dawno temu panowała nad Bałtykiem złotowłosa królowa Jurata. Miała ona pałac z przezroczystego bursztynu, sto dziewic w swoim orszaku, a sto pięknych łodzi z konchy muszlowej na swoje rozkazy. Panowała bardzo sprawiedliwie i dobrze, opiekowała się z macierzyńską troskliwością swoim podwodnym państwem, a rybkom nie pozwoliła robić żadnej krzywdy. Sama lubiła najbardziej fląderki, ale litując się ich doli, kazała zawsze tylko połowę podawać na swój stół królewski, a drugą połowę wrzucać napowrót do morza. Z tej to przyczyny wszystkie flondry wyglądają jak rozpołowione.

Razu jednego wypłynęła Jurata z orszakiem swoich dziewic na morze, a gdy łodzie z konchy muszlowej przybiły do lądu, spostrzegła królowa młodego rybaka cudnej urody, który po obfitym ryb połowie rozwijał sieci. Jurata oburzona tem, iż śmiały rybak śmie zakłócać spokój jej poddanych, ale zarazem olśniona urodą młodzieńca, podniosła bursztynowe berło i rzekła:

„Zbrodnia twoja jest wielka! Ośmieliłeś się chwytać moje najpiękniejsze rybki, zasłużyłeś więc na śmierć. Młodość jednak twoja budzi we mnie uczucia litości, przebaczę ci zatem winę, jeżeli mnie zaprzysięgniesz dozgonną wierność i jeżeli się stawisz przedemną na każde zawołanie“.

Rybak padł na kolana i zaprzysiągł wierność królowej Bałtyku. Rok już mijał, a wierny swej przysiędze rybak stawał przed Juratą na każde jej skinienie, pełniąc we wszystkim wolę swej pani.

Lecz Perkun, potężny władca gromów, dowiedziawszy się, że królowa morza, zamiast ukarać śmiałka, otacza opieką występnego śmiertelnika, srodze się na nią rozgniewał i zesłał piorun, który bursztynowy pałac Juraty roztrzaskał w kawałki, a Juratę zabił. Praamzimas, bóg nieba i ziemi, nieszczęśliwy ojciec królowej Bałtyku, mszcząc się za śmierć córki, porwał

rybaka i przykuł go żywcem na dnie morza do skały, u stóp ciała Juraty.

Odtąd, gdy wiatr zahuczy i rozburzonymi falami miotać pocznie, wydobywają się z morza głuche jęki: są to narzekania nieszczęśliwego rybaka. Szczątki zaś bursztynowego pałacu królowej Bałtyku dotąd morze na brzeg wyrzuca.

I. Warnkówna.

147. Lwów.

Największem miastem Rusi Czerwonej jest Lwów. Leży on w kotlinie, otoczonej wzgórzami. W obrębie miasta są liczne źródła, z których powstaje potok Pełtew. W debrach, z których te źródła wypływają, leżą domy i domki, ogrody spacerowe, kwiatowe, warzywne i owocowe, lasy i gaiki, cegielnie, browary i t. p.

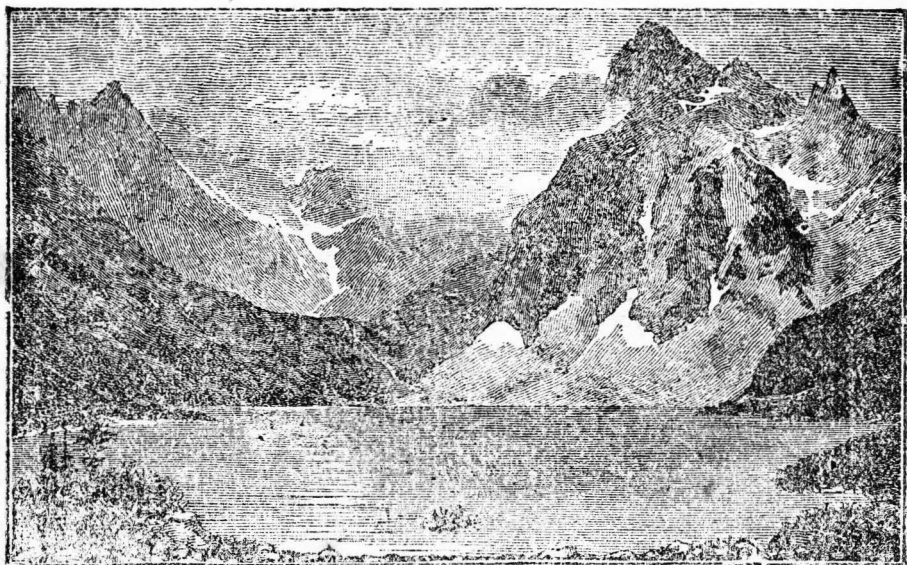
Za dawnych czasów, kiedy kraj nasz narażony był na częste napady Tatarów i innych nieprzyjaciół, opasywały Lwów dokoła grube mury i strzegły liczne baszty. Oprócz tego broniły miasta dwa zamki, z których jeden wznosił się na górze, zwany do dziś Wysokim Zamkiem. Dziś okrywają górę tę różnorodne drzewa, wśród których Lwowianie szukają po pracy wytchnienia i świeżego powietrza. Dawne wały skopano i założono na ich miejscu aleje spacerowe i klomby z kwiatami.

Okazałe gmachy wznoszą się we wszystkich stronach miasta. Rynek wykreślony niegdyś przez Kazimierza Wielkiego, który Ruś Czerw. do Polski przyłączył, jest mniejszy od krakowskiego. Wśród niego stoi ratusz z wysoką wieżą. Są też we Lwowie liczne i piękne kościoły, a między nimi aż 3 katedry. Mieszkają tu bowiem trzej katolicycy arcybiskupi: łacińskiego, greckiego i ormiańskiego obrzędu. W stolicy znajdują się najróżnorodniejsze szkoły. Są osobne zakłady, w których ciemni i głuchoniemi uczą się czytać, pisać i pracować ręcznie. W urzędach, w handlach, pracowniach i w fabrykach — wszędzie zajęcie i praca. Tu widzisz wielki browar, tam młyn parowy, w którym tysiące centnarów zboża przerabiają na mąkę. W tej fabryce wyrabiają narzędzia rolnicze, potrzebne wiejskim gospodarzom; w tamtej oczyszczają naftę. Po wszystkich ulicach i placach snuje się mnóstwo powozów i wozów z towarami.

Takie jest życie w stolicy Rusi Czerwonej.

148. Tatry i Dunajec.

Tatry są najwyższymi górami w naszym kraju. Szczyty ich tworzą nagie szare skały. Nazywają je tam wichry, a najwyższe i najdziksze między niemi „turnie“. Stanąwszy na którym z tych wierzchołków, widzimy dokoła same tylko głązy i urwiska, ściany skaliste i przepaście głębokie, w których huczą strumyki, spadające po wielkich złomach skał. W głębokich rozpadlinach leżą miejscami śnieg przez całe lata. Skały są częstokroć pokryte mchem, tu i owdzie wyziera z pod mchu mała czerwona jagódka,



Morskie Oko w Tatrach.

która ptakom służy za pożywienie. W większych zagłębieniach między szczytami i ścianami Tatr rozlewają się piękne stawy czyli jeziora górskie. Jest ich w Tatrach blisko sto. Jedno z największych i najpiękniejszych jest Morskie Oko. Na niższych grzbietach Tatr rosną bujne i pożywne trawy i zioła. Te wonne łąki górskie nazywają się halami. Jeszcze niżej są gęste bory śpilkowe. U podnoża właściwych Tatr ścielą się cztery wyniosłe i szerokie doliny, Śpiska na wschodzie, Liptowska na południe, Orawska na zachodzie, Nowotarska na północy. Tylko Nowotarska należy do Polski. Górale tamtejsi nazywają ją Podhalem.

Z Tatr wypływa mnóstwo potoków, które łączą się na Podhalu w trzy znaczniejsze rzeki. Są to Czarny Dunajec, Biały Dunajec i Białka. Z ich połączenia powstaje Dunajec. Podhale zamykają od północy góry. Przez te góry przebił sobie Dunajec drogę wśród pięknych skał, które się nazywają Pieniny. Pod Starym Sączem łączy się z Dunajcem Poprad. Ten przepływa dolinę Śpiską i przedziera się przez Beskid, tak samo jak Dunajec.

149. Tatarzy.

W czasach, kiedy Polska i Ruś podzielone były między wielu książąt, napadli na oba te kraje po raz pierwszy Tatarzy. Przybyli oni ze wschodu. Byli niskiego wzrostu, ale silni i barczyści, twarz mieli śniadą, szeroką i kościstą, oczy małe i świejące, a nosy płaskie. Obyczaje ich były dzikie. Mieszkali pod



Tatarzy uprowadzają jeńców polskich.

namiotami, które z sobą wozili. Hodowali konie i wielbłądy, a trudnili się grabieżą i rabunkami. Żywili się głównie końskim mięsem, a pili przestale mleko kobyłe. Naczelnika swojego nazywali chanem.

Przybyli oni do Polski w ogromnej liczbie i niespodziewanie. Palili po drodze wsie i miasta i mordowali ludzi bez litości, kobiety i dzieci uwozili tysiącami w niewolę. Nadaremnie ludność kryła się w niedostępnych lasach i jaskiniach, lub uciekała do warownych grodów. Tatarzy zapuszczali się w najdalsze zakątki. Tych, którzy się schronili do jaskiń, dusili dymem, a miasta obsadzali tak długo, dopóki mieszkańców głodem nie zniewolili do poddania się.

Książęta ruscy musieli uznać chana tatarskiego swoim panem. Tatarzy zajęli też Sandomierz, w którym był księciem syn Leszka Białego, Bolesław Wstydlivy, ożeniony z św. Kunegundą czyli Kingą. Następnie zburzyli Kraków, tak, że kilka tylko pozostało kościołów, a w końcu zapędzili się na Śląsk.

Tu książę śląski, Henryk Pobożny, zastąpił im drogę. Za mało jednak miał wojska, bo ani król czeski, ani cesarz niemiecki nie spieszyli im z pomocą. Tatarzy otoczyli ze wszech stron wojsko chrześcijańskie. Rycerstwo walczyło dzielnie, ale nie mogło pokonać wroga. Mała tylko garstka uszła śmierci, sam książę poległ w tej walce za wiarę i ojczyznę. Ale i Tatarów tak wielka liczba padła na polu bitwy, że zaniechali dalszego pochodu i powrócili do swych siedzib. Tak to własnem życiem uratował książę polski z polskiem rycerstwem dalsze kraje chrześcijańskie od strasznego najazdu tych dzikich pogan.

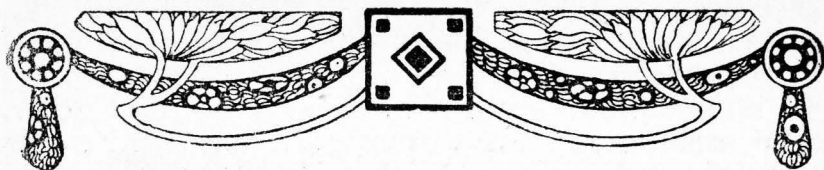
W tych strasznych czasach wstąpiła się cnotami matka Henryka Pobożnego, św. Jadwiga. Poświęciła ona całe życie pielęgnowaniu chorych i wspieraniu ubogich. Bolesną stratę syna zniosła po chrześcijańsku, poddając się wyrokowi Opatrzności. Zająęła się pogrzebaniem zwłok syna i innych rycerzy, pocieszała ich wdowy, opiekowała się sierotami i ratowała z pogromu to, co można było ocalić. W Trzebnicy na Śląsku wybudowała św. Jadwiga klasztor, w którym dokonała cnotliwego żywota.

Książęta ruscy długo jeszcze musieli ulegać chanom tatarskim. I nasze ziemie często jeszcze najeżdżali Tatarzy, ale już do Krakowa i Śląska nigdy nie dotarli.





Polska w granicach przed pierwszym rozbiorem 1772 r.



SPIS.

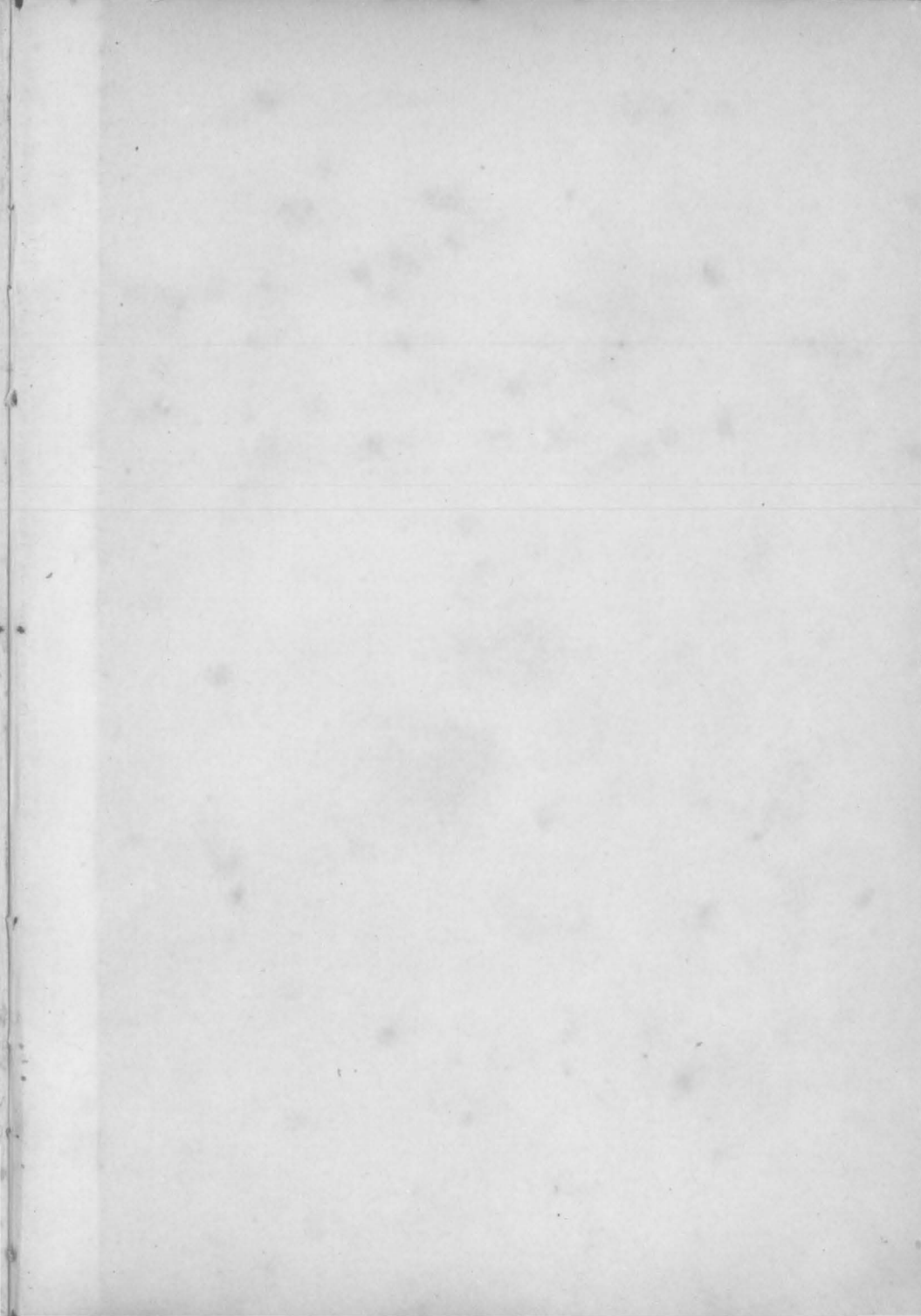
Numer	Strona
1. Z Bogiem! (wiersz)	3
2. Zaczynaj wszystko z Bogiem	4
3. Gdzie jest Bóg? (wiersz)	4
4. Kto z Bogiem, Bóg z nim	4
5. Szczęśliwy, kto ma serce czyste (wiersz)	5
6. Księga Boska (wiersz)	5
7. Wielkość Boga	6
8. Józio	6
9. Boska opieka	7
10. Ufiność w Bogu (wiersz)	8
11. Domy Boże	8
12. Na chwałę Bożą	9
13. Z Bogiem (wiersz)	10
14. Pieśń o domu (wiersz)	11
15. Dworek (wiersz)	12
16. Powrót do rodzinnej wioski	12
17. Nasz domek (wiersz)	14
18. Dla czego wieś rodzinna jest człowiekowi najmilsza?	14
19. Domek rodzinny (wiersz)	15
20. Najlepiej w domu (wiersz)	16
21. Nie wstydź się swego rodu	17
22. Trzech przyjaciół	17
23. Do przyjaciela (wiersz)	18
24. Wieczór na wsi (wiersz)	18
25. Siejba (wiersz)	19
26. Sierotka	19
27. Gil i słowik (wiersz)	20
28. O porządku i czystości w ogrodzie	20
29. Tulipan i fiołek	21
30. Sługa Boży	21
31. Dobroczynny Władzio	21

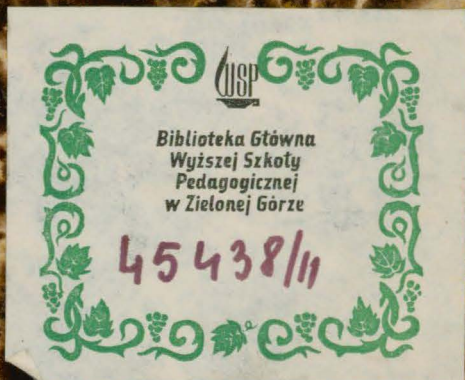
32. Koledzy	22
33. Siedzi ptaszek na drzewie (wiersz)	23
34. Słowik (wiersz)	24
35. Do wiosny (wiersz)	24
36. W ogrodzie	25
37. Wiosenka (wiersz)	29
38. Skowronek (wiersz)	29
39. Do skowronka (wiersz)	29
40. Wiosna	30
41. Wiosna (wiersz)	30
42. Natura i sztuka	31
43. Dwa pługi (wiersz)	32
44. Karolek i słońce (wiersz)	32
45. Portret	32
46. Drzewko	33
47. Wiosna (wiersz)	34
48. Rezurekcja (wiersz)	34
49. Gniazdo liszek	35
50. Pisklęta	36
51. Piękny postępek Maryni	36
52. Wielkoduszność Araba	36
53. Podróżny (wiersz)	38
54. Wybór kwiatów	38
55. Dumka wygnańca (wiersz)	38
56. Rosa	39
57. Koza	40
58. Paw i kogut	41
59. Paw królem	41
60. Wróbel i jastrząb	42
61. Lis i cocian	42
62. Lato (wiersz)	42
63. Chrząszcze	43
64. Pszczoła	44
65. Słonko (wiersz)	45
66. Mała żniwiarka	46
67. Chmury i mgła	47
68. Deszcz	48
69. Żniwo	48
70. Letni wieczór (wiersz)	50
71. Pustelnik i niedźwiedź	50
72. Przyprawy korzenne	51
73. Odpoczynek	52

74.	Róża	52
75.	Dar mały lecz ze serca	53
76.	Syn (wiersz)	53
77.	Ostatnia wola	54
78.	Kruszce	55
79.	Młóść bliźniego	56
80.	Uszlachetnianie drzew owocowych	57
81.	Bociany	58
82.	Stary żołnierz	59
83.	To nam, skrzypku, graj! (wiersz)	60
84.	Lenistwo	60
85.	Duża grusza	61
86.	Wieśniak (wiersz)	62
87.	Mądry i głupi (wiersz)	63
88.	Wdzięczny lew	63
89.	Sierota (wiersz)	64
90.	Koźle i wilk	65
91.	Przyjaciele (wiersz)	65
92.	Szanujcie oczy!	66
93.	Młócka (wiersz)	66
94.	Przywiązanie psa	67
95.	Wdzięczna uczennica	68
96.	Skrzydlaty więzień	69
97.	Dowcipna odpowiedź	70
98.	Ezop	70
99.	Prosty a głęboki pomysł	71
100.	Pieśń o ziemi naszej (wiersz)	71
101.	Hej, siewacze! (wiersz)	72
102.	Brzoskwinie	73
103.	Do bociana (wiersz)	74
104.	Jabłoń i chłopczyk (wiersz)	75
105.	Kalina (wiersz)	76
106.	Basia mleczarka	77
107.	Modrzew	78
108.	Żebraczka	79
109.	Kawa	80
110.	Dobra córka	81
111.	Osiół i lew	82
112.	Skąd mamy płótno!	82
113.	Węgiel kamienny	84
114.	Wapień	84
115.	Nafta	86
116.	Nie suknia zdobi człowieka	88

117.	Sąd krasnoludków	89
118.	Dzień zaduszy	91
119.	Woda	93
120.	Jeż i kret	94
121.	Gospodarz i wróble	94
122.	Do wróbelka (wiersz)	95
123.	Zima	95
124.	Staruszka	96
125.	Sosna (wiersz)	97
126.	Wrona miejska (wiersz)	98
127.	Pamiętaj, abyś dzień święty święcił	98
128.	Choinka	99
129.	Szanuj starszych (wiersz)	101
130.	Leszek Biały i Goworek	101
131.	Cesarz Oton III w Gnieźnie	102
132.	B edny krawiec	102
133.	Sen Leszka Czarnego	104
134.	Mazur (wiersz)	105
135.	Z życia Kościuszki	106
136.	Wawel (wiersz)	108
137.	Pierwotny Poznań	109
138.	Paweł Cholewa	112
139.	Książ Konstanty Ostrogski	113
140.	Dzwon króla Zygmunta	114
141.	Król Stefan Batory w szkole	115
142.	Piękny przykład miłości Ojczyzny Kaspra Karlińskiego	115
143.	Obrona Trębowli	116
144.	Habdank	116
145.	Góra św. Bronisławy	117
146.	Jurata, królowa Bałtyku	119
147.	Lwów	119
148.	Tatry i Dunajec	120
149.	Tatary	121
	Mapa W. Księstwa Poznańskiego	123
	Mapa Polski pod względem fizycznym i etnograficznym	124







Biblioteka Główna WSP w Zielonej Górze
nr inw.: ks 2 - 45438



II 45438/II